

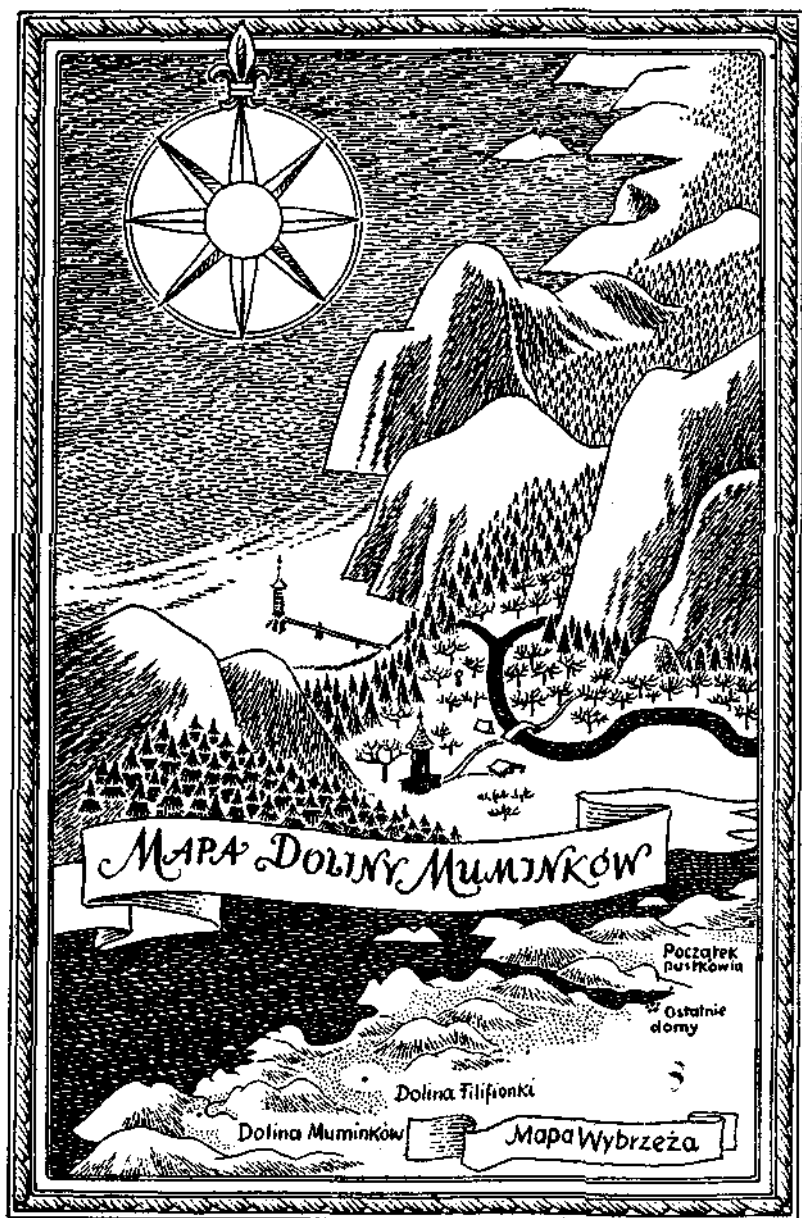
Tove Jansson

Dolina Muminków
w listopadzie

NASZA KSIĘGARNIA







MAPA DOLINY MUMINKÓW

Początek pustkowi

Ostatnie domy

Dolina Filifionki

Dolina Muminków

Mapa Wybrzeża

Tove Jansson

Dolina Muminków w listopadzie

Przełożyła
Teresa Chłapowska



NASZA KSIĘGARNIA

1



Któregoś wczesnego ranka w Dolinie Muminków Włóczykij obudził się w swoim namiocie i poczuł, że nadeszła jesień i czas ruszać w drogę.

Taki wymarsz jest zawsze nagły. W jednej chwili wszystko się zmienia, temu, kto odchodzi, zależy na każdej minucie, szybko wyciąga namiotowe śledzie i gasi żar, zanim ktokolwiek przyjdzie przeszkadzać i wypytywać, i zaczyna biec, w biegu zarzucając plecak, i wreszcie jest już w drodze, raptem spokojny niczym wędrujące drzewo, na którym nie rusza się ani jeden liść. Tam gdzie stał namiot, świeci pusty prostokąt zbielełej trawy. Później, kiedy zrobi się dzień, zbudzą się przyjaciele i powiedzą: „Odszedł, widać jesień się zbliża”.

Włóczykij szedł drobnym, spokojnym krokiem przez gęsty las. Zaczęło padać. Deszcz kropił na jego zielony kapelusz i na płaszcz nieprzemakalny, który też był zielony, szemrał i pluskał ze wszystkich stron, a las otaczał go łagodną, cudowną samotnością.

Dużo się tu spotykało dolin wzdłuż wybrzeża. Przy nich góry schodziły do morza długimi, uroczystymi fałdami, ku cyplom i zatokom wcinającym się głęboko w przybrzeżne pustkowie. W jednej z tych dolin mieszkała całkiem



samotnie pewna Filifionka. Włoczykij nieraz już widywał Filifionki i wiedział, że one zawsze robią wszystko po swojemu, według swoich własnych głupich zasad. Toteż nigdy nie zachowywał się tak cicho jak wtedy, gdy przechodził koło domu jakiejś Filifionki.

W ogrodzeniu sterczały spiczaste kolki, furka była zamknięta, ogród całkiem pusty. Sznury do rozwieszania bielizny zostały schowane, drewno na opał zniknęło. Nie było hamaka ani mebli ogrodowych. Nic z tego uroczonego

nieporządku, jaki zwykle w lecie panuje wokół domu, ani grabi, ani wiadra, ani zapomnianego kapelusza czy miseczki z mlekiem dla kota, nic z tych wszystkich swojskich rzeczy, które czekają na następny dzień i czynią dom przyjaźnie otwartym i zamieszkanym.

Filifionka wiedziała, że nadeszła jesień, i zamknęła się w środku. Jej dom wydawał się całkowicie nieprzystępny i opustoszały. Lecz ona była w nim, schowana w jego najgłębszym wnętrzu, za szczelnymi ścianami i murem świerków zasłaniających okna.

Spokojne przechodzenie jesieni w zimę wcale nie jest przykrym okresem. Zabezpiecza się wtedy różne rzeczy, gromadzi się i chowa jak największą ilość zapasów. Przyjemnie jest zebrać wszystko, co się ma, tuż przy sobie, możliwie najbliżej, zmagazynować swoje ciepło i myśli i skryć się w głębokiej dziurze, w samutkim środku, tam gdzie bezpiecznie, gdzie można bronić tego, co ważne i cenne, i swoje własne. A potem niech sobie sztormy, ziąb i ciemności przychodzą, kiedy chcą. Niech się tłuką o ściany szukając po omacku wejścia, i tak go nie znajdują, bo wszystko jest zamknięte, a w środku siedzi ten, kto był przezorny, siedzi i śmieje się, zadowolony z ciepła i samotności.

Są tacy, co zostają w domu, i tacy, co odchodzą. Zawsze tak było. Każdy może sam wybrać, ale musi to zrobić, póki jeszcze czas, i w żadnym razie nie rozmyślić się.



Filifionka zabrała się do trzepania dywanów na podwórku za domem. Trzepała zajadle, równo odmierzanymi uderzeniami, bez reszty pochłonięta tym zajęciem, które najwyraźniej sprawiało jej wielką przyjemność. Włóczykij szedł dalej, palił fajkę i myślał: „Obudzili się teraz w Dolinie Muminków. Tatuś nakręca zegar i puka w barometr. Mama rozpała w piecu. A Muminek wychodzi na werandę i widzi, że miejsce, gdzie stał namiot, jest puste. Zagląda do skrzynki na listy koło mostu, a w niej też pusto. Zapomniałem o liście pożegnalnym, nie zdążyłem go napisać. Ale wszystkie moje listy są jednakowe: «Wróć w kwietniu, bądź zdrow. Odchodzę, wróć z wiosną, trzymaj się». On przecież wie”.

I Włóczykij szybko zapomniał o Muminku.

O zmroku doszedł do długiej zatoki leżącej w wiecznym cieniu między górami. W jej głębi, tam gdzie stała gromadka ciasno do siebie przytulonych domów, świeciły nieliczne, wczesne światła.

Padał deszcz i na dworze nie było nikogo.

Tu mieszkali Paszczak, Mimbla i Gapsa, pod każdym dachem mieszkał ktoś, kto postanowił nie odchodzić, ci, którzy chcieli zostać w domu. Włóczykij przemknął koło podwórka, wszedł w cień i zachowywał się, jak mógł najciszej, bo nie chciał z nikim rozmawiać. Duże domy, małe domy, jedne tuż przy drugich, niektóre połączone z sobą, ze wspólnymi rynnami i pojemnikami na śmiecie, zaglądające sobie do okien i wachające zapachy kuchenne od sąsiadów. Kominy, wysokie dachy i żurawie studzienne, a w



dole wydeptane ścieżki od drzwi do drzwi. Włóczykij szedł szybko i cicho i myślał: „Och, wy, domy, jak ja was wszystkich nie cierpię!”

Było już teraz prawie ciemno. Łódź Paszczaka leżała wyciągnięta aż pod olchy, przykrywał ją szary brezent. Trochę wyżej leżały wiosła, maszt i ster. Były szerniałe i popękane, bo niejedno lato minęło, a nikt ich nigdy nie używał. Włóczykij otrząsnął się i poszedł dalej.

Lecz mały Toft, schowany w łodzi Paszczaka, usłyszał jego kroki i wstrzymał oddech. Kroki oddaliły się powoli i

znów było cicho, tylko deszcz uderzał o brezent.

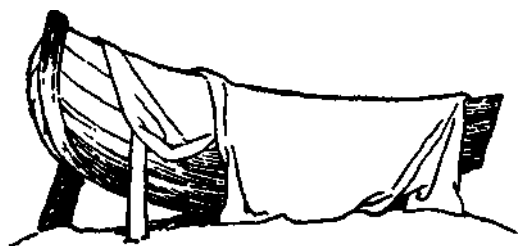
Ostatni dom stał całkiem samotnie pod ciemnozieloną ścianą świerkowego lasu i tu naprawdę zaczynało się pustkowie. Włóczykij szedł coraz szybciej, prosto w stronę lasu. Wtedy w ostatnim domu ktoś uchylił drzwi i bardzo stary głos zawołał:

- Dokąd idziesz?

- Nie wiem - odpowiedział Włóczykij.

Drzwi zamknęły się i Włóczykij wszedł w las. Miał przed sobą sto mil ciszy.





Czas płynął, a deszcz nie przestawał padać. Żadnej jeszcze jesieni tyle nie padało. Doliny wzdłuż wybrzeża nasiąkły wodą, która spływała z gór i pagórków, i ziemia butwiała zamiast wysychać. Lato wydawało się nagle tak dalekie, jakby go nigdy nie było, drogi od domu do domu wydłużyły się i każdy siedział schowany u siebie.

Głęboko w dziobie łodzi Paszczaka mieszkał mały Homek imieniem Toft. Nikt nie wiedział, że tam mieszka. Tylko raz do roku, z nastaniem wiosny, ktoś zdejmował brezent, smołował łódź i zatykał największe szpary, a potem znów naciągał brezent i łódź dalej leżała pod nim i czekała. Paszczak nigdy nie miał czasu wypłynąć nią na morze, zresztą nie umiał żeglować.

Toft lubił zapach smoły i bardzo dbał o to, żeby mieszkać w miejscu, gdzie ładnie pachnie. Lubiał zwój lin, który go mocno trzymał w objęciach, i nieustanny szmer deszczu. Jego szeroki płaszcz był ciepły i nadawał się doskonale na długie noce jesienne.

Wieczorem, kiedy już wszyscy byli w swoich domach i cisza zalegała nad zatoką, Homek Toft opowiadał sobie historię, którą sam wymyślił. Była to historia o szczęśliwej rodzinie. Opowiadał, dopóki nie zasnął, a następnego

wieczoru albo zaczynał od miejsca, w którym przerwał, albo jeszcze raz od początku.

Homek zaczynał przeważnie od opisu szczęśliwej Doliny Muminków. Szedł pomału w dół, po zboczu, na którym rósł ciemny bór świerkowy i bardzo jasne brzozy. Robiło się ciepłej. Próbował opisać, jakie to było uczucie, kiedy z doliny wchodziło się do zielonego, dzikiego ogrodu prześwietlonego słońcem, wszędzie zielone liście kołyszące się w letnim powiewie, zielona trawa dookoła i nad jego głową, a w trawie plamy słońca i brzęczenie pszczół, i wszystko tak ładnie pachniało, a on szedł wolno dalej, dopóki nie usłyszał płynącej rzeki.

Musiał uważać, żeby nie zmienić ani jednego szczegółu. Któregoś razu umieścił dom nad rzeką, i to był błąd. Miał tam być tylko most i skrzynka na listy. Potem ukazywały się krzaki bzu i drewnutnia Tatusia z ich własnym zapachem lata i bezpieczeństwa.

Było dość wcześnie rano i bardzo cicho. Homek Toft widział teraz ozdobną kulę z niebieskiego szkła, stojącą na słupku w głębi ogrodu. To szklana kula Tatusia Muminka, najpiękniejsza w całej dolinie. Magiczna kula.

Trawa rosła wysoko i pełno w niej było kwiatów. Homek opowiadał sobie, jak one wyglądają. Opowiadał o gracowanych ścieżkach, schludnie obrzeżonych muszlami i bryłkami złota, zatrzymywał się trochę dłużej przy plamach słońca, które szczególnie lubił. Pozwalał wiatrowi zaszumieć wysoko nad doliną, przelecieć przez las na zboczu, potem ucichnąć, tak że znowu robił się idealny spokój. Jabłonie stały okryte kwiatem. Homek poumieszczał



jabłka na niektórych drzewach, ale potem je zdjął, zawiesił hamak i rozsypał żółte trociny przed drewnitnią, teraz był już bardzo blisko domu.

Była rabata piwonii i weranda... Weranda skąpana w porannym słońcu, dokładnie taka, jak ją Homek widział, balustrada ozdobnie wycinana laubzegą, kapryfolium, fotel na biegunach, wszystko.

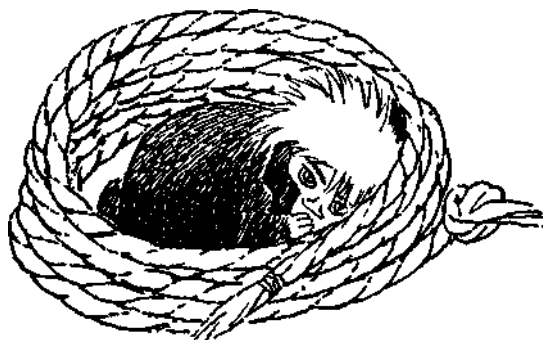
Homek Toft nigdy nie wchodził do domu, czekał na zewnątrz. Czekał, żeby Mama Muminka wyszła na schody.

Niestety; przeważnie zasypiał właśnie wtedy. Tylko jeden jedyny raz mignął mu jej pyszczek w drzwiach wejściowych, okrągły, przyjazny pyszczek. Cała Mama Muminka była zresztą okrągła, tak jak mamy powinny być.

Teraz Toft znowu szedł doliną. Setki razy wędrował tą samą drogą i za każdym razem przeżywał coraz większe emocje. Nagle szara mgła przysłoniła cały krajobraz, wszystko zamazało się, widział już tylko ciemność pod zamkniętymi powiekami i słyszał nieustający jesienny deszcz, który bił w brezent. Homek próbował wrócić do doliny, ale nie mógł.

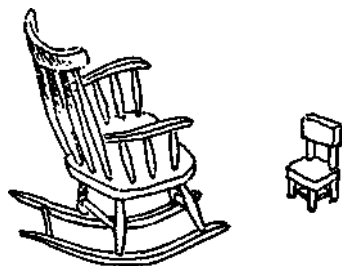
W ostatnim tygodniu zdarzyło się to dobrych parę razy i za każdym razem mgła przychodziła wcześniej. Wczoraj zobaczył ją przy drewni, a teraz zrobiło się ciemno jeszcze przed krzakami bzu. Toft wpełzł głębiej w fałdy płaszcza i pomyślał: „Jutro nie dojdę może nawet do rzeki. Nie udaje mi się wyobrazić sobie rzeczy tak, żebym mógł je zobaczyć, wszystko się cofa”.

Drzemał przez chwilę, a gdy obudził się w ciemności, wiedział już, co zrobi. Opuści łódź Paszczaka, pójdzie do

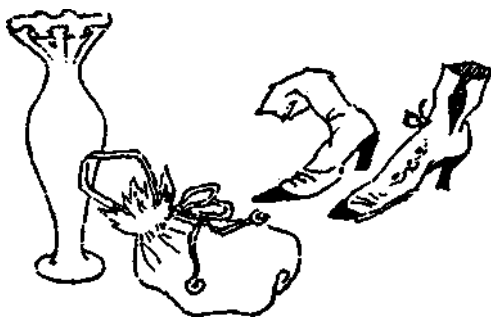


Doliny Muminków, wejdzie na werandę, otworzy drzwi i powie, kim jest.

Kiedy już to postanowił, zasnął z powrotem i spał całą noc bez żadnych snów.



3



Któregoś listopadowego czwartku przestało padać i Filifionka postanowiła umyć okna na poddaszu. Zagrzała wodę w kuchni, wysypała trochę mydła, ale tylko troszeczkę, a potem zaniósła miskę na górę, postawiła ją na stołku i otworzyła okno. Wtedy coś odzepiło się od ramy okiennej i upadło tuż obok jej łapki. Wyglądało jak mały kłaczek bawełny, ona jednak od razu wiedziała, co to jest: to ohydna poczwarka, a w niej siedzi biaława larwa. Filifionka wzdrygnęła się i skuliła łapki. Gdziekolwiek szła, cokolwiek robiła, zawsze natrafiała na coś, co się czołga i pełza, tyle tego było wszędzie! Wzięła ścierkę od kurzu i szybkim ruchem wymiotła poczwarkę, a potem patrzyła, jak poczwarka stacza się po dachu, spada z jego krawędzi i znika.

- Paskudztwo - szepnęła wytrzepując ścierkę. Podniosła miskę i wyszła przez okno, żeby je umyć od zewnątrz.

Lecz Filifionka była w kapiach i gdy tylko znalazła się na stromym, mokrym dachu, zaczęła zsuwać się po nim na plecach. Nie zdążyła się nawet wystraszyć. Błyskawicznym ruchem odwróciła swe chude ciało na brzuch i w jednej zawrotnie szybkiej sekundzie zjechała w dół. Kapcie

stuknęły o krawędź dachu i wtedy zatrzymała się. Teraz dopiero poczuła strach. Przeniknął ją całą, utkwił jej w gardle jak smak atramentu.

Przymknęła oczy, ale mimo to widziała ziemię daleko w dole, jej szczęki zwarły się z przestachu i zdziwienia i nie była nawet w stanie krzyknąć.

Zresztą i tak nikt by jej nie usłyszał. Bo Filifionka dawno już pozbyła się wszystkich swoich krewnych i uciążliwych znajomych i miała mnóstwo czasu, żeby zajmować się swoim domem i swoją samotnością, żeby spadać całkiem samotnie z własnego dachu do ogrodu, między chrząszcze i różne nieopisanie wstrętne robaki.

Zrobiła rozpaczliwy, pełzający ruch w górę, łapkami czepiając się śliskiej blachy, lecz znowu zjechała w dół i wszystko było tak, jak przed chwilą. Wiatr łomotał otwartym oknem i szumiął w ogrodzie, a czas płynął. Kilka kropli deszczu spadło na dach.

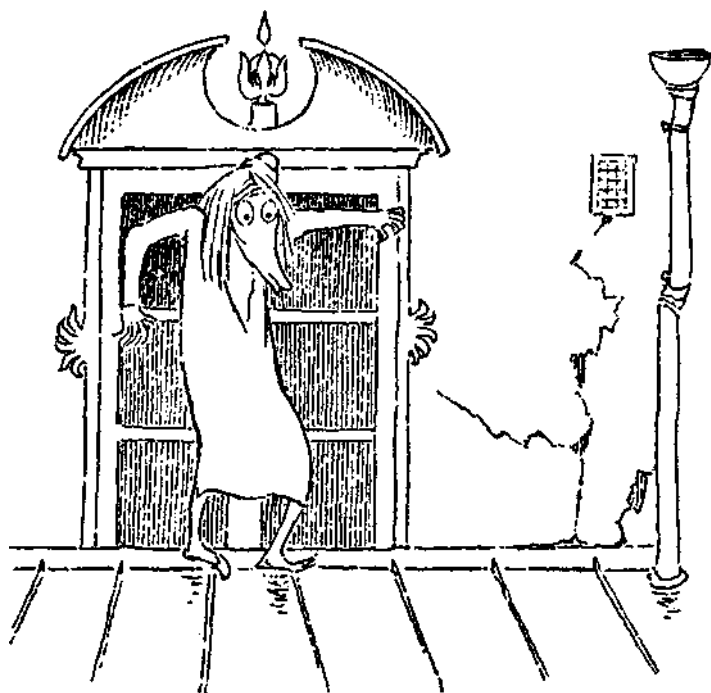
Nagle przypomniała sobie o piorunochronie, którego przewód biegł po drugiej stronie domu. Wolno, powolutku zaczęła przesuwać się wzdłuż krawędzi dachu, najpierw kawałeczek na jednej nodze, potem znów kawałeczek na drugiej. Z oczami mocno zamkniętymi, przylepiona brzuchem do blachy, pełzła dookoła swojego dużego domu i cały czas myślała o tym, że miewa zawroty głowy i jakie to jest uczucie, jak się takiego zawrotu dostaje. Kiedy wreszcie namacała łapką drut piorunochronu, uczepiła się go ostatkiem sił i zaciskając jeszcze mocniej powieki wciągnęła się ostrożnie na wysokość poddasza; teraz nie było na całym świecie nic innego, tylko cienki drut i zawieszona na nim Filifionka.

Chwyciła się wąskiej, drewnianej listwy obiegającej poddasze, podciągnęła się, przypadła do niej i leżała chwilę bez ruchu. Potem bardzo wolno uniosła się i na czworakach czekała, aż nogi przestaną jej dygotać. Nie czuła się nic a nic śmiesznie. Krok po kroku zaczęła posuwać się dalej, twarzą do ściany. Przechodziła od okna do okna, ale wszystkie były zamknięte. Zawadzał za długi pyszczek, włosy spadały na oczy i laskotały w nos. „Bylebym tylko nie kichnęła, bo stracę równowagę... Nie wolno mi patrzeć ani myśleć. Przydeptał mi się kapeć, nikogo nie obchodzi, co się ze mną dzieje, gorset cały się pozwijał i w każdej sekundzie, po tych wszystkich okropnych sekundach...”

Znowu zaczęło padać. Filifionka otworzyła oczy i zerkając przez ramię zobaczyła stromy dach, w dole jego krawędź, a za nią upadek w próżnię. Nogi znowu się pod nią ugięły i świat zakołował, teraz to już był zawrót głowy. Odciągnął ją od ściany, listwa, na której stała, zrobiła się cienka i wąska jak nóż i w ciągu jednej, długiej jak wieczność sekundy Filifionka przeleciała przez całe swoje filifionkowe życie.

Bardzo powoli, rozstając się z bliskim już bezpieczeństwem, odchyliła się do tyłu, aż do nieubłaganej granicy, za którą runęłaby w przepaść, ale zatrzymała się na niej na moment trwający jakby jeszcze jedną wieczność, a potem opadła z powrotem w przód.

Teraz nie była już niczym innym, jak tylko czymś, co usiłowało zrobić się bardzo, bardzo płaskie i posuwać się dalej. Wreszcie okno. Wiatr mocno je zatrasnął.



Na ramie okiennej, gładkiej i gołej, nie było nic, za co można by pociągnąć, najmniejszego nawet gwoźdźcia. Filifionka spróbowała podważyć ją szpilką do włosów, ale szpilka się zgięła. Widziała w środku miskę z mydlinami i ścierkę, niewzruszony obraz spokojnej codzienności, nieosiągalny świat.

Ścierka! Okno przycięło ją na parapecie... Serce Filifionki zaczęło łomotać - zobaczyła wystający, malutki jej rożek, wzięła go w palce, och, jak ostrożnie, i pociągnęła lekko... „Ach, żeby tylko wytrzymała, żeby to była ta nowa, śliczna ścierka, a nie ta stara... Nigdy już nie będę żałowała nowych ścierek, nigdy nie będę na niczym oszczędzała, będę

rozrzutna, przestanę sprzątać, za dużo sprzątam, jestem pedantyczna... Będę kimś zupełnie innym niż Filifionką...” Tak myślała, błagalnie, lecz i beznadziejnie, bo Filifionka, oczywiście, nigdy nie może być nikim innym, jak tylko Filifionką.

Ścierka wytrzymała. Okno otworzyło się powoli, wiatr uderzył nim o ścianę, a Filifionka rzuciła się na łeb, na szyję w zacisze pokoju, spadła na podłogę i poczuła, że żołądek podchodzi jej do gardła i że robi się jej okropnie niedobrze.

Nad nią huśtała się poruszana wiatrem, wisząca u sufitu lampa, wszystkie frędzelki kiwały się w równych od siebie odstępach, każdy z małym paciorkiem na czubku. Przyglądała się im uważnie, zdziwiona tymi małymi frędzelkami, których nigdy przedtem nie widziała. Nigdy też dotąd nie zauważyła, że jedwabny abażur jest czerwony, bardzo piękna czerwień przypominająca zachód słońca. Nawet hak w suficie miał nowy i niezwykle kształt.

Poczuła się trochę lepiej. Zaczęła się zastanawiać, jakie to jest dziwne, że wszystko, co wisi na haku, rzeczywiście wisi w dół, a nie w jakąś inną stronę, i na czym to może polegać. Cały pokój zmienił się, wszystko wyglądało inaczej. Filifionka podeszła do lustra i przypatrzyła się sobie. Pyszczyk z jednej strony cały podrapany, włosy proste jak druty i mokre. Oczy nie te same. „I pomyśleć, że się ma oczy do patrzenia - zastanawiała się - i jak to się dzieje, że się widzi?...”

Zaczęło jej być zimno, i od deszczu, i od tego, że przeleciała przez całe swoje życie w ciągu jednej sekundy, postanowiła więc zaparzyć kawę. Gdy otworzyła kredens w kuchni, zobaczyła po raz pierwszy, że ma za dużo porcelany.

Takie straszne ilości filiżanek do kawy! Znacznie za dużo półmisek, naczyń do zapiekaneek, sterty talerzy, setki rzeczy, którymi się je i na których się je, i tylko jedna jedyna Filifionka. Kto to wszystko dostanie, jak ona umrze?

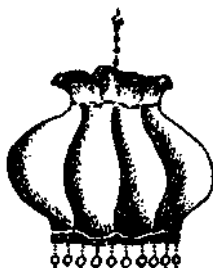
- Wcale nie umrę - szepnęła i zatrzasnęła kredens. Wbiegła do holu, na chwiejnych nogach pokręciła się koło mebli w sypialnym, wpadła do salonu i odsłoniła firanki, skoczyła jeszcze na poddasze, jednak wszędzie było równie cicho. Pootwierała wszystkie drzwi, otworzyła też szafę na ubranie, w której leżała jej podróżna torba - i teraz nareszcie wiedziała, co robi. Uda się w odwiedzin. Chce zobaczyć znajomych. Znajomych, którzy rozmawiają i są mili, którzy wchodzi i wychodzą, i tak wypełniają cały dzień, że nie zostaje czasu na straszne myśli.

Ale nie chce widzieć Paszczaka. Ani Mimbli, zwłaszcza jej! Tylko rodzinę Muminków. Czas już, żeby pójść z wizytą do Mamy Muminka. Na te rzeczy trzeba się zdecydować, póki się jest w odpowiednim nastroju, i najlepiej szybko, zanim nastrój minie.



Filifionka wyciągnęła torbę i włożyła do niej srebrny wazon - da go Mamie Muminka. Wylała mydliny na dach i zamknęła okno. Wysuszyła włosy, zakręciła je na papiloty, a potem wypila popołudniową herbatę. Dom uspokoił się i znowu był taki sam jak zawsze. Umywszy filiżankę po herbacie, wyjęła z torby srebrny wazon i na jego miejsce włożyła porcelanowy. Zapaliła lampę u sufitu, bo przy deszczu szybko się ściemniało.

„Co mi się stało - pomyślała. - Przecież ten abażur wcale nie jest czerwony, tylko lekko brązowy. Ale tak czy inaczej, ja wyruszam”.





Była późna jesień. Włóczykij szedł dalej na południe, lecz co jakiś czas rozstawiał namiot i pozwalał dniom mijać, jak chcą, chodził sobie i przyglądał się różnym rzeczom, nic nie myśląc i nic nie pamiętając, i dużo spał. Zachowywał ostrożność, ale niczym się właściwie nie interesował i nie obchodziło go, dokąd idzie - chciał tylko iść dalej.

Las uginał się od deszczu, drzewa tkwiły w zupełnym bezruchu. Wszystko było już zwiędłe i obumarłe, lecz w dole, przy ziemi, wyrastał z wielką energią prosto z butwiejącej gleby późnojesienny, tajemniczy ogród, dziwne podszycie z błyszczących, napeczniałych roślin nie mających w ogóle nic wspólnego z latem. Nagie krzaki czarnej jagody były żółtozielone, a owoce żurawiny ciemne jak krew. Zaczęły też rosnać ukryte przedtem porosty i mchy, rozpełzały się szeroko, podobne do wielkiego, miękkiego dywanu, który chce zawładnąć lasem. Wszystko miało nowe, mocne kolory i wszędzie na ziemi leżały świecące, czerwone jagody jarzębiny. Ale paprocie były czarne.

Włóczykij poczuł, że ma ochotę układać piosenki. Począł, żeby ochota stała się całkiem oczywista,

i któregoś wieczoru wyciągnął harmonijkę, leżącą dotąd na samym dnie plecaka. W sierpniu, gdzieś w Dolinie Muminków, wpadło mu w ucho pięć taktów, które niewątpliwie mogły się stać wspólnym początkiem melodii. Zjawiły się w sposób całkiem zwyczajny, jak to bywa z dźwiękami, gdy się je zostawi w spokoju. Teraz nadszedł czas, żeby je wydobyć i żeby powstała z nich piosenka o deszczu.

Włóczyki nasłuchiwał i czekał. Ale pięć taktów nie przychodziło. Czekał dalej, wcale się nie niepokojąc, bo wiedział, jak to jest z melodiami. Słyszał tylko słaby szum deszczu i ściekającej wody. Pomału zrobiło się całkiem ciemno. Wyjął fajkę i zaraz schował ją z powrotem. Zrozumiał, że te pięć taktów zostało w Dolinie Muminków i że ich nie znajdzie, dopóki tam nie wróci.

Są miliony melodii, które łatwo znaleźć i zawsze będą inne, nowe. Ale Włóczyki nie zwracał na nie uwagi, niech sobie odlatują, gdzie chcą, to były letnie piosenki, dla kogokolwiek. Wczołgał się do namiotu i zakopał w śpiworze, naciągając go na głowę. Delikatny szum deszczu i spływającej wody nie zmieniał się, dźwięczała w nim wciąż ta sama, łagodna nuta samotności i doskonałości. Lecz co go obchodził deszcz, skoro nie mógł ułożyć o nim piosenki?





Paszczak obudził się powoli i gdy tylko stwierdził, że jest sobą, zapragnął być kimś innym, kimś, kogo nie znał. Czuł się jeszcze bardziej zmęczony niż wtedy, kiedy kładł się spać, a tu tymczasem nastał już nowy dzień, który będzie trwał do wieczora, a potem przyjdzie następny i jeszcze następny i ten znów będzie taki sam, jak wszystkie dni w życiu Paszczaka.

Schował się więc pod kołdrę i zagrzebał nos w poduszkę, potem przesunął się brzuchem na brzeg łóżka, gdzie było chłodne prześcieradło, a potem rozłożył się na całym łóżku, wyciągając ręce i nogi, i wciąż czekał na przyjemny sen, który nie przychodził. Wreszcie zwinął się w kłębek i zrobił się malutki, ale i to nie pomogło. Starał się być Paszczakiem, którego wszyscy lubią, i starał się być Paszczakiem, którego nikt nie lubi. Lecz co z tego, kiedy i tak ciągle był tylko Paszczakiem, który wszystko robi, jak może najlepiej, ale nic mu naprawdę dobrze nie wychodzi. W końcu wstał i wciągnął spodnie.

Nie lubił ani ubierać się, ani rozbierać, bo wtedy miał wrażenie, że dni mijają i nic godnego uwagi się nie dzieje.

A przecież wciąż coś organizował i urządzał, ciągle czymś dyrygował, od rana do wieczora! Wszędzie dookoła wszyscy wiedli niedbale, bezcelowe życie, gdziekolwiek spojrzeć, wszędzie było coś do ustawienia we właściwy sposób, i Paszczak wychodził z siebie, żeby uprzytomnić innym, jak powinni żyć.

„Zupełnie jakby nie chcieli, żeby im było dobrze - martwił się myjąc zęby. Spojrzał na fotografię, na której był on sam i jego żagłówka w dniu wodowania. Piękne to było zdjęcie, lecz gdy patrzył na nie, zrobiło mu się jeszcze smutniej. - Powinienem nauczyć się żeglować - uznał. - Tylko że nigdy nie mam czasu...”

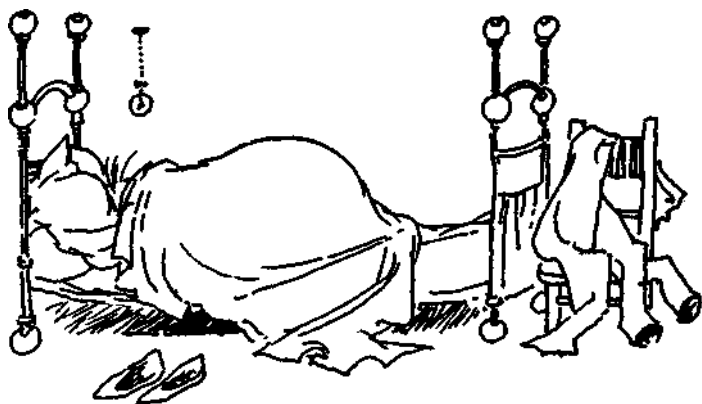
Nagle przyszło mu na myśl, że wszystko, co robi, nie jest niczym innym, jak tylko przenoszeniem rzeczy z jednego miejsca na drugie albo mówieniem, gdzie one powinny stać, i przez krótką chwilę olśnienia zastanawiał się, co by się stało, gdyby dał temu spokój.

- Prawdopodobnie nic. Ktoś inny zająłby się tym wszystkim - rzekł sam do siebie, odkładając szczoteczkę do zębów do szklanki. Lecz to, co powiedział, zdziwiło go i trochę nawet przeraziło, zimny dreszcz przebiegł mu po plecach, tak jak to się dzieje, kiedy zegar wybija północ w noc sylwestrową, i zaraz w następnej sekundzie pomyślał: „Ale w takim razie musiałbym zacząć żeglować...” I wtedy poczuł się już tak źle, że musiał usiąść na łóżku.

„Teraz nic już nie rozumiem - myślał biedny Paszczak. - Co mi przyszło do głowy, żeby coś takiego powiedzieć? Są pewne sprawy, o których nie należy myśleć i których nie należy zanadto zgłębiać”. Zaczął rozpaczliwie szukać

w pamięci czegoś miłego, co mogłoby odpędzić poranną melancholię, szukał i szukał, i powoli zjawilo mu się odległe i przyjemne wspomnienie z któregoś lata. Przypominał sobie Dolinę Muminków. Był tam strasznie dawno temu, ale jedną rzecz pamiętał bardzo dokładnie. Pamiętał pokój gościnny z oknem na południe, przypominał sobie, jak miło było budzić się w nim rano. Okna były otwarte, łagodny letni wietrzyk poruszał białą firanką, haczyk w oknie stukał leciutko od powiewu... A pod sufitem bzycała mucha. I nie trzeba było się spieszyć. Kawa czekała na werandzie, wszystko było proste i samo dobrze się układało.

Była tam też pewna rodzina, nie przypominał ich sobie tak dokładnie, dreptali to tu, to tam i zajmowali się swoimi sprawami, czymś przyjemnym i bliżej nieokreślonym - taka sobie po prostu rodzina. Tatusia pamiętał trochę lepiej, i może jego łódź. No i pomost. Ale najlepiej pamiętał te poranne, radosne przebudzenia.





Paszczak wstał, poszedł po szczoteczkę do zębów i włożył ją do kieszeni. Przestało mu być niedobrze, poczuł się całkiem odnowiony.

Nikt go nie widział, kiedy odchodził. Bez walizki, bez parasola i bez pożegnania się z kimkolwiek z sąsiadów.

Paszczak nie był przyzwyczajony do chodzenia po okolicy. Parę razy zabłądził, to go jednak nie zaniepokoiło ani nie rozgniewało.

„Nigdy się dotąd nie zgubiłem - pomyślał z dumą. - I nigdy jeszcze nie przemokłem”. Wymachiwał rękami i czuł się jak ten, o którym mówi piosenka, że szedł sam w deszczu tysiąc mil od domu, wolny i swobodny. Taki był szczęśliwy! I niedługo dostanie gorącej kawy na werandzie.

Mniej więcej milę na wschód od doliny doszedł do rzeki. Spojrzał w zamyśleniu na ciemną, płynącą wodę i przyszło mu do głowy, że życie jest jak rzeka. Niektórzy żeglowali na niej powoli, inni szybko, jeszcze inni przewracali się razem z łodzią. „Powieм to Tatusiowi Muminka - pomyślał poważnie. - Wydaje mi się, że to całkiem nowa myśl. Ach,

jak myśli łatwo dziś przychodzi i jakie wszystko jest proste! Wystarczyło przejść przez próg, z kapeluszem zawadiacko na bakier, no nie? Może spuszcze łódź na wodę. I wypłynę na morze. Poczuję mocny opór steru w mojej łapie... Mocny opór steru w mojej łapie..." - powtórzył i był już tak szczęśliwy, że aż prawie odczuwał ból. Zacisnął pas na grubym brzuchu i ruszył dalej brzegiem rzeki.

Kiedy dotarł do doliny, siąpił drobniutki, szary deszcz. Wszedł prosto do ogrodu i stanął zdumiony. Coś tu było nie tak. Niby tak samo, a jednak inaczej. Jakiś uschnięty liść przyleciał skądś i wylądował mu na nosie.

- Ach, jaki jestem niemądry! - wykrzyknął Paszczak. - Przecież to już nie jest lato. To jesień!

A on zawsze wyobrażał sobie Dolinę Muminków w letniej szacie. Zbliżył się do domu, stanął przed schodami na



werandę i spróbował jodłować. Ale mu nie wychodziło. Wobec tego zawołał:

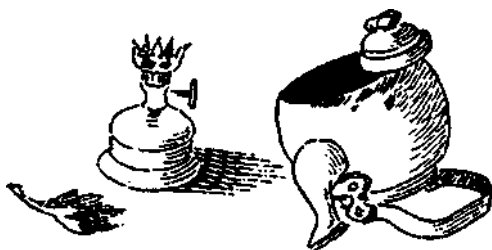
- Ho! Ho! Zaparcie no kawę, wy tam w środku! Żadnej odpowiedzi. Zawołał jeszcze raz i poczekał chwilę.

„Teraz sobie z nich trochę zażartuję” - pomyślał. Nastawił kołnierz, nasunął kapelusz na nos, wziął grabie, które leżały koło beczki z wodą, i podniósł je groźnie nad głową. A potem wrzasnął:

- Otwierać, w imię prawa!

Stał w miejscu i czekał, trzęsąc się ze śmiechu. Dom milczał. Tymczasem deszcz, coraz gęściejszy, wciąż padał i padał na czekającego Paszczaka i w całej dolinie nie było słyhać nic innego, tylko szum padającego deszczu.





Homek Toft nigdy nie był w Dolinie Muminków, ale nie zabłądził. To była bardzo daleka droga, a Homek miał krótkie nogi. Wszędzie natrafiał na głębokie kałuże i mokradła, i na ogromne drzewa, które powaliła starość albo może burza. Ich wyrwane korzenie trzymały w górze wielkie kawały ziemi, a spod nich wyzierały czarne, błyszczące bajorka. Homek okrążał je, obchodził dookoła każde mokradło i każdą kałużę i ani razu nie pomylił drogi. Czuł się bardzo szczęśliwy, bo wiedział dokładnie, czego chce. Las ładnie pachniał, jeszcze ładniej niż łódź Paszczaka.

Sam Paszczak pachniał starym papierem i niepokojem. Homek stwierdził to kiedyś, kiedy Paszczak stał koło swojej łodzi i wzdychał, a potem pociągnął parę razy za brezent, zanim odszedł.

Przestało na razie padać, ale las tonął we mgle i był bardzo piękny. Gęstniał tam, gdzie pagórki zniżały się do Doliny Muminków, a kałuże zmieniały się stopniowo w rzeczulki. Było ich teraz coraz więcej. Homek szedł między setkami strumyków i wodospadów, które podążały wszystkie w tę samą stronę co on.

Dolina była już bardzo blisko, za chwilę dojdzie na miejsce. Poznawał brzozy, miały pnie bielsze niż w innych

dolinach. Wszystko, co jasne, było jaśniejsze, i wszystko, co ciemne - ciemniejsze. Homek Toft stąpał tak cicho, jak tylko mógł, i bardzo powoli. I słuchał. Ktoś rąbał drzewo w dolinie. To Tatuś Muminka. Przygotowuje opał na zimę. Homek zaczął iść jeszcze ciszej, łapki ledwo dotykały mchu. Teraz rzeka jakby się do niego przybliżała, zobaczył most i drogę. Tatuś przestał rąbać, słysząc było już tylko szum rzeki, w której zbierały się wszystkie rzeczutki i strumyki, by razem płynąć do morza.

„To tutaj” - pomyślał Homek Toft. Przeszedł przez most i wszedł do ogrodu - był taki sam jak w jego opowiadaniach, nie mógł być inny. Drzewa, огоłocone z liści, stały w listopadowej mgłę, teraz jednak, na jedno mgnienie oka, okryły się zielonością, plamy słońca zatańczyły w trawie i Homek poczuł miły, kojący zapach bzu. Przebiegł ścieżkę do drewnutni, ale stamtąd doszedł go inny zapach, zapach starego papieru i niepokoju. Na progu siedział Paszczak z siekierą na kolanach, jej ostrze było wyszczerbione w paru miejscach, tam gdzie uderzył w gwoździ. Homek Toft stanął.

„To Paszczak - pomyślał. - A więc tak on wygląda”.

Paszczak podniósł na niego wzrok.

- Halo! - powiedział. - Myślałem, że to Tatuś Muminka. Nie wiesz, gdzie się wszyscy podziali, co?

- Nie - odparł Homek.

- W tym ich drzewie pełno gwoździ - rzekł Paszczak podnosząc siekiere. - Stare deski i kawałki drewna pełne gwoździ!

Przyjemnie było z kimś porozmawiać.



- Przyszedłem tutaj tak dla zabawy - mówił dalej Paszczak. - Tak jak się wpada do starych znajomych!

Zaśmiał się i odstawił siekiere do drewni.

- Słuchaj no, Homku - powiedział. - Poznoś to wszystko do kuchni, żeby wyschło, i ułóż w stos, a ja przez ten czas zaparzę kawę. Kuchnia jest z tyłu, na prawo.

- Wiem - odparł Toft.

Paszczak ruszył w stronę domu, a Homek Toft zaczął zbierać porąbane polana. Spozrzegł, że Paszczak nie ma wprawy w rąbaniu, lecz widocznie bawi go to. Drewno ładnie pachniało.

Paszczak wniósł tacę z kawą do salonu i postawił ją na owalnym, mahoniowym stole.

- Ranną kawę pije się tu zwykle na werandzie -

powiedział. - Ale kawa dla gości podawana jest w salonie, zwłaszcza jeśli ktoś nigdy tu jeszcze nie był.

Fotele były obite ciemnoczerwonym pluszem, każdy z koronkową serwetką na oparciu. Toft rozglądał się nieśmiało po pięknym, dostojnym pokoju. Nie miał odwagi usiąść, meble wydawały mu się zbyt wspaniałe. Piec, zdobiony deseniem w szyszki sosnowe, sięgał do sufitu, drzwiczki w nim były mosiężne, błyszczące, sznur od szybra haftowany perełkami. Komoda też błyszczała; każda szuflada miała połączony uchwyt.

- No i co, nie usiądziesz? - odezwał się Paszczak.

Homek usiadł na samym brzegu fotela, wpatrzony w portret nad komodą. Portret przedstawiał kogoś, kto był cały pokryty szarą sierścią, miał ogon, złe, wąsko osadzone oczy i wyjątkowo duży nos.

- To ich przodek - wyjaśnił Paszczak. - Z czasów, kiedy mieszkali za piecami kaflowymi.

Homek błędził wzrokiem dalej, spojrzął na schody znikające w pustej ciemności poddasza. Dreszcz przebiegł mu po plecach.

- Nie byłoby cieplej w kuchni? - zapytał.

- Chyba masz rację - odparł Paszczak. - Może i przyjemniej w kuchni.

Wziął tacę i wyszli z opustoszałego salonu.

Przez cały dzień nie rozmawiali o rodzinie, która wyjechała. Paszczak chodził po ogrodzie, grabił liście i mówił o wszystkim, co mu przyszło do głowy. Homek szedł za nim, zbierał liście do koszyka i prawie się nie odzywał.



W pewnej chwili Paszczak przystanął patrząc na niebieską, szklaną kulę Tatusia Muminka.

- Ozdoba ogrodowa - powiedział. - Za mojego dzieciństwa bywały przeważnie posrebrzane.

I dalej grabił.

Homek Toft nie spojrział na szklaną kulę. Nie chciał na nią patrzeć, dopóki nie będzie sam. Szklana kula była centralnym punktem doliny, zawsze odzwierciedlała tych, co tu mieszkali. Jeśli cokolwiek zostało z rodziny Muminków, powinno to być widoczne w ciemnoniebieskiej, szklanej kuli.

O zmierzchu Paszczak wszedł do salonu i nakręcił ścienny zegar Tatusia. Zegar zaczął najpierw bić jak szalony, szybko i nierówno, ale potem szedł już normalnie. Znowu słychać było równe, spokojne tykanie i salon jakby ożył. Paszczak podszedł do barometru - był to duży barometr z ciemnego mahoni, z mnóstwem ozdób - puknął w niego i zobaczył, że wskazuje zmienną pogodę. Potem

wszedł do kuchni mówiąc:

- Wszystko zaczyna się układać! Możemy dorzucić do pieca i napić się jeszcze kawy, co?

Zapalił lampę w kuchni, wyszukał w szafie jakieś sucharki o smaku cynamonowym.

- To prawdziwe sucharki okrętowe - wyjaśnił. - Przypominają mi o mojej łodzi. Jedz, Homku. Jesteś za chudy.

- Dziękuję - odparł Homek.

Paszczak był trochę podniecony, oparł się na stole kuchennym i powiedział:

- Moja żagłówka jest zbudowana systemem zakładkowym. Czy można z czymkolwiek porównać spuszczenie łodzi na wodę, kiedy nadejdzie wiosna?

Homek moczył suchara w kawie i nie odzywał się.

- Czeka się i czeka - ciągnął dalej Paszczak - aż wreszcie można rozwinąć żagiel i wyruszyć.

Homek spojrzał na niego spod grzywki. W końcu powiedział:

- Tak.

Paszczak poczuł się nagle osamotniony, za cicho było w tym domu.

- Nie zawsze ma się czas robić to, co by się chciało - rzekł. - Znałeś ich?

- Tak, Mamę - odparł Homek Toft. - Tamtych pamiętam jak przez mgłę.

- Ja tak samo - wykrzyknął Paszczak, ucieszony tym, że Toft nareszcie coś więcej powiedział. - Nigdy im się tak dobrze nie przypatrywałem, rozumiesz. Po prostu byli... - Szukał słów, a potem mówił dalej, jakby na próbę: - Oni byli czymś, co zawsze jest, jeżeli rozumiesz, co chcę

powiedzieć... Czymś takim jak drzewa - albo jak rzeczy...

Homek znowu zamknął się w sobie. Po chwili Paszczak wstał i powiedział:

- Trzeba by się chyba położyć. Jutro też czeka nas dzień...

Zawahał się. Bowiem piękny obraz lata i pokoju gościnnego z oknem na południe zniknął, widział teraz tylko schody prowadzące na ciemne poddasze z pustymi pokojami. Postanowił spać w kuchni.

- Ja trochę wyjdę - wymamrotał Toft.

Zamknął za sobą drzwi i stanął na schodach przed kuchnią. Na dworze była czarna noc. Homek poczekał, aż oczy przyzwyczają mu się do ciemności, a potem ruszył wolno przez ogród. Coś niebieskiego i świecącego wyłoniło się z mroku - natrafił na szklaną kulę. Spojrzał na nią, była głęboka jak morze, przelewały się w niej potężne, wzburzone fale. Homek Toft patrzył coraz głębiej i głębiej i czekał cierpliwie. W końcu gdzieś bardzo daleko, w samym wnętrzu niebieskiej kuli, zapaliło się nagle światełko. Świeciło i gasło, i znowu świeciło, i gasło w równych odstępach, niczym latarnia morska.

„Jak oni są daleko” - pomyślał Toft. Nie odchodził mimo pełzającego po nogach chłodu, wpatrzony w światło, które pojawiała się i znikało, tak słabe, że ledwo widoczne. Poczuł się oszukany.

Paszczak stał w kuchni z lampą w łapie i myślał o tym, jakie to jest przygnębiające, jakie niewesołe, kiedy trzeba wyszukać materac, znaleźć miejsce, gdzie by go położyć, a potem rozebrać się i przyznać, że jeszcze raz z dnia zrobiła się noc. „Jak to się dzieje, że tak jest? - zastanawiał się w osłupieniu. - Taki się czułem szczęśliwy przez cały dzień.

Dlaczego wszystko wydawało się takie proste?”

Podczas gdy tak rozmyślał, drzwi od werandy otworzyły się i ktoś wszedł do salonu przewracając krzesło.

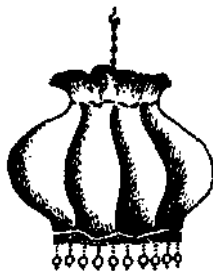
- Co tam robisz? - spytał Paszczak.

Nikt nie odpowiedział. Paszczak podniósł lampę i zawołał:

- Kto tam?!

Wtedy bardzo stary głos odparł tajemniczo:

- Tego nie mam zamiaru ci powiedzieć!





Był strasznie stary i łatwo zapominał. Obudził się któregoś ciemnego, jesiennego ranka i nie mógł sobie przypomnieć, jak się nazywa. Trochę to jest smutne, kiedy nie pamięta się cudzych imion, natomiast zapomnieć swoje należy wręcz do przyjemności.

Nie zadał sobie trudu, żeby wstać z łóżka, i przez cały dzień pozwalał nowym myślom i obrazom przychodzić i odchodzić, jak chcą, od czasu do czasu spał trochę i potem znowu się budził, wciąż nie wiedząc, kim jest. To był spokojny i bardzo ciekawy dzień.

Pod wieczór, po to żeby móc wstać, spróbował znaleźć sobie jakieś imię. Dziad Klekot? Wujek Grat? Wuj Truj? Dziadzio Trotel? Gruchot?

Przedstawiano mu tyle różnych osób, ale ich imiona natychmiast gdzieś się ulatniały. Przychodzili w niedziele. Wykrzykiwali uprzejmie pytania, bo ani rusz nie mogli się nauczyć, że nie jest głuchy. Starali się mówić jak najprościej, żeby zrozumiał, o co chodzi. Mówili dobranoc, wracali do siebie i tam grali, tańczyli i śpiewali aż do następnego rana. Tacy byli jego krewni.

- Jestem Wuj Truj - szepnął uroczyście. - A teraz wstanę i zapomnę o wszystkich krewnych na całym świecie.

Sporą część nocy przesiedział przy oknie patrząc w ciemność i wyczekując. Ktoś przeszedł koło jego domu i zniknął w lesie. Po drugiej stronie zatoki czyjeś oświetlone okno odbijało się w wodzie. Może odbywała się tam zabawa, a może nie. Noc mijała powoli, a Wuj Truj czekał, żeby się dowiedzieć, co chce zrobić.

I nadeszła ta chwila. Wczesnym świtem, kiedy było jeszcze ciemno, uznał, że już wie. Chce wybrać się do pewnej doliny, gdzie był raz, bardzo dawno temu. Być może, że o tej dolinie tylko kiedyś słyszał albo może o niej czytał, ale to przecież nie miało znaczenia. Najważniejszą rzeczą był potok, który płynął tą doliną. A może to była rzeka? W każdym razie nie strumień. Wuj Truj postanowił, że to był potok, znacznie wołał potoki od strumieni. Czysty, wartki potok, a on sam siedzi na moście, macha nogami i patrzy, jak się ścigają małe rybki. Nikt go nie pyta, czy nie powinien pójść się położyć. Nikt się nie dowiadyje, jak jego zdrowie, i nie zaczyna natychmiast mówić o czymś innym, nie dając mu czasu na zastanowienie się, jak to właściwie jest z jego samopoczuciem. To było miejsce, gdzie grało się i śpiewało całą noc i skąd on, Wuj Truj, wracał do domu ostatni.

Nie wyruszył od razu. Wiedział z doświadczenia, jak ważne jest umieć odkładać to, za czym się tęskni, i zdawał sobie sprawę, że wyprawa w nieznanie musi być przygotowana z rozmysłem.

Przez kilka dni chodził po wzgórzach okalających

głęboką, cienistą zatokę i coraz bardziej zapominał o wszystkim, o czym chciał zapamiętać; dolina wydawała mu się coraz to bliższa.

Kiedy tak chodził, ostatnie czerwone i żółte liście spadały z drzew gromadząc się koło jego stóp (miał wciąż jeszcze bardzo mocne nogi). Co jakiś czas przystawał, podnosił laską jakiś ładny liść i mówił sam do siebie:

- To klon, tego nie zapomnę. - Wiedział doskonale, co chce pamiętać.

Podczas tych kilku dni udało mu się zapomnieć o bardzo wielu sprawach. Co rano budził się w tym samym tajemniczym nastroju oczekiwania i zaraz brał się do zapominania, tak żeby dolina mogła się przybliżyć. Nikt mu nie przeszkadzał, nikt mu nie mówił, kim jest.

W końcu wyszukał pod łóżkiem koszyk i zapakował do niego wszystkie swoje lekarstwa, jak również buteleczkę koniaku na żołądek. Zrobił sześć kanapek i wziął parasol. Przygotowywał się do ucieczki, do ucieczki z domu.

Z biegiem lat nagromadziło mu się na podłodze mnóstwo rzeczy. Tyle tego zawsze jest, czego nie warto podnosić, i tyle powodów, żeby nie podnosić. Leżały te różne rupiecie porozrzucane jak wyspy, cały archipelag niepotrzebnych, pogubionych przedmiotów. Wuj Truj przyzwyczał się przechodzić koło nich i przestępować przez nie, przysparzały pewnej emocji jego codziennym wędrówkom po pokoju, a jednocześnie utwierdzały go w przekonaniu, że wszystko jest powtarzalne i trwałe. Ale teraz uznał, że nie są mu już więcej potrzebne. Wziął miotłę i rozpętał w pokoju huragan. Co tylko było:

resztki jedzenia, zgubione kapcie, kłębki kurzu, pigułki, które się kiedyś potoczyły po ziemi, łyżki, widelce, guziki i nie otwarte listy - wszystko to zmiótł w duży stos. Z tego stosu wyciągnął osiem par okularów i włożył je do koszyka.

„Będę patrzył na całkiem nowe rzeczy” - pomyślał.

Dolina była teraz zupełnie blisko, tuż za zakrętem, ale on czuł, że to jeszcze nie jest niedziela.

Wuj Truj opuścił swój dom w piątek czy w sobotę. Nie mógł się oczywiście powstrzymać, żeby nie zostawić listu pożegnalnego. *Odchodzę i miewam się znakomicie* - napisał. - *Słyszałem wszystko, co mówiliście przez sto lat, bo wcale nie jestem głuchy. Wiem też, że cały czas urządzaliście ukradkiem zabawy.* Bez podpisu.

Po napisaniu listu włożył szlafrok i kamasze, wziął koszyk, otworzył drzwi i zatrzasnął je za sobą, zostawiając zamkniętych sto starych lat. Pokrzepiony powziętym ochoczo postanowieniem oraz swoim nowym imieniem, ruszył prosto na północ, w stronę szczęśliwej doliny. Nad zatoką nikt nie wiedział, że odszedł. Czerwonożółte liście tańczyły mu nad głową, a z dalekich wzgórz nadciągała kolejna jesienna ulewa, by zmyć resztki tego, czego nie chciał pamiętać.



8



Wizyta Filifionki w Dolinie Muminków została nieco odłożona, bo Filifionka nie mogła się zdecydować, czy zabezpieczyć rzeczy przed molami, czy nie. Posypywanie wszystkiego naftaliną jest wielkim przedsięwzięciem, trzeba wietrzyć, szczotkować i tak dalej, i tak dalej, nie mówiąc już o szafach, które musi się szorować sodą i mydłem. Otóż Filifionka, gdy tylko dotknęła miotły lub ścierki, dostawała zawrotu głowy i od razu mdlące uczucie strachu wzbierało jej w żołądku i grzęzło w gardle. Po prostu nie mogła sprzątać, nic z tego nie wychodziło. Tak było od czasu tej historii z myciem okna.

„Tak nie może być - myślała biedna Filifionka. - Mole zjedzą wszystko, co posiadam!”

Nie wiedziała przecież, jak długo potrwa jej wizyta. Gdyby nie czuła się zbyt dobrze, wszystko mogłoby się ograniczyć do kilku zaledwie dni. Ale gdyby było przyjemnie, to dłużej nie miałyby zostać cały miesiąc. A gdyby się z tego rzeczywiście zrobił miesiąc, to po powrocie mogłaby zastać we wszystkich ubraniach pełno moli i różnych robaków. Ze zgrozą wyobrażała sobie, jak ich małe szczęki wgryzają się w jej suknie, w dywany - jaka by je

je ogarnęła nikczemna radość, gdyby znalazły jej długi kołnierz z lisa!

W końcu Filifionka, nie mogąc się zdecydować, popadła w stan takiego zmęczenia i przygnębienia, że schwyciła torbę podróżną, zawinęła lisa wkoło szyi, zamknęła dom i wyruszyła.

Dolina Muminków leżała niedaleko jej doliny, lecz gdy tam dochodziła, torba ciążyła jej jak kamień i uwierały trzewiki. Weszła na werandę, zastukała, poczekała chwilę i otworzyła drzwi do salonu.

Od razu spostrzegła, że nikt w nim dawno nie sprzątał. Zdjęła nicianą rękawiczkę i przeciągnęła palcem po gzymsie kaflowego pieca: w szarym kurzu pozostał biały ślad.

- To niemożliwe - szepnęła, czując dreszcz podniecenia. - Żeby przestać sprzątać, i to z własnej, nieprzymuszonej woli!...

Postawiła torbę na ziemi i podeszła do okna. Okno okazało się też brudne, deszcz zostawił na szybach długie, smutne pasma. Zasłony były zdjęte. Dopiero widząc to zrozumiała, że rodziny Muminków nie ma w domu. Zobaczyła też kryształowy żyrandol owinięty tiulem. Nagle otoczył ją zewsząd chłodny zapach opuszczonego domu i poczuła się bezgranicznie zawiedziona. Otworzyła torbę, wyjęła porcelanowy wazon - prezent dla Mamy Muminka - i postawiła go na stole. Stał jak niema wymówka. Wszędzie było strasznie cicho.

Filifionka pobiegła na pierwsze piętro. Tam było jeszcze zimniej, taki nieruchomy chłód w domu zamkniętym na zimę. Otworzyła po kolei wszystkie drzwi, we wszystkich pokojach było pusto, panował w nich półmrok, bo rolety



były spuszczone! Coraz bardziej zaniepokojona pootwierala bielizniarki, spróbowała też zajrzeć do szafy na ubrania, ale szafa była zamknięta... I wtedy, całkiem tracąc opanowanie, zaczęła walić w nią łapkami, a potem popędziła do schowka na poddaszu i pchnęła drzwi na oścież.

A tam siedział mały Homek z wielką książką na kolanach. Spojrzał na nią bardzo wystraszony.

- Gdzie oni są? Gdzie? - zawołała Filifionka.

Homek upuścił książkę i cofnął się ku ścianie, ale gdy poczuł zapach nieznanego, podnieconego Filifionki, przestał się bać. Pachniała strachem, więc nie była niebezpieczna. Powiedział:

- Nie wiem.

- Ale ja przyszedłam ich odwiedzić! - wybuchnęła Filifionka. - Mam z sobą prezent. Bardzo piękny wazon. Nie mogli tak po prostu odejść, bez jednego słowa!

Homek potrząsnął tylko głową, dalej się w nią wpatrując. Filifionka zamknęła drzwi i poszła.

Homek Toft wrócił do zwoju sieci rybackiej leżącej na podłodze, zrobił sobie nowy wygodny dołek i zabrał się z powrotem do czytania. Była to bardzo duża, gruba książka, bez początku i bez końca, strony były pożółkłe i trochę nadgryzione na rogach przez szczury. Homek nie miał wprawy w czytaniu, dużo czasu tracił na sylabizowanie każdego słowa. Wciąż miał nadzieję, że dowie się z tej książki, dlaczego cała rodzina gdzieś sobie poszła i dokąd. Lecz książka mówiła o całkiem innych rzeczach, o dziwnych zwierzętach i ciemnych krajobrazach, nie rozpoznawał w niej żadnej nazwy. Homek nigdy dotąd nie słyszał, że głęboko na dnie morza żyją Radiolarie i ostatnie już Nummulity. Jeden z tych Nummulić różnił się od swoich krewnych, miał w sobie coś z Noktiluki i stopniowo stawał się podobny tylko do siebie. Był wyraźnie bardzo mały i małał jeszcze bardziej, kiedy się bał.

Nie możemy się dość nadziwić - czytał Toft - tej rzadkiej odmianie grupy Protozoa. Przyczyny tego osobliwego rozwoju wymykają się, rzecz jasna, wszelkim uzasadnionym



osądom, mamy jednak podstawę przypuszczać, że rozstrzygającym warunkiem jej istnienia były wyładowania elektryczne. Wyjątkowo częste występowanie burz elektrycznych w tym okresie jest faktem bezspornym; wspomniane już polodowcowe łańcuchy górskie podlegały nieustannie ich gwałtownemu działaniu, a sąsiadujące z nimi morze naładowywało się elektrycznością.

Homek Toft wypuścił książkę z łapek. Nie bardzo rozumiał, o czym w niej mowa, zdania były takie długie. Ale te wszystkie dziwne słowa wydawały mu się bardzo piękne, a poza tym nigdy dotąd nie miał własnej książki. Schował ją pod sieć i leżał bez ruchu, pogrążony w rozmyślaniach. Pod rozbitym świetlikiem w suficie spał, wisząc głową na dół, mały nietoperz.

Z ogrodu dobiegł ostry głos Filifionki. Znalazła Paszczaka.

Homek Toft był coraz bardziej śpiący. Próbował opowiadać sobie o szczęśliwej rodzinie, ale mu się nie udawało. Zamiast tego opowiedział sobie o samotnym stworzonku, o małym Nummulicie, który miał w sobie coś z Noktiluki i lubił elektryczność.





Mimbla szła przez las i myślała: „Przyjemnie jest być Mimblą, czuję się znakomicie, od góry do dołu”.

Lubiła swoje długie nogi i czerwone boty. Na czubku jej głowy sterczała dumna, mimblowa fryzura: mocno ściągnięty, lśniący koczek, podobny do małej, czerwonawożółtej cebulki. Mimbla przemierzała moczary, wspinała się na pagórki, schodziła do głębokich jarów, którym deszcz nadał wygląd podwodnych krajobrazów, szła szybko, a co jakiś czas biegła nawet kawałek, żeby poczuć, jaka jest lekka i szczupła.

Wiodła ją chęć odwiedzenia małej siostrzyczki Mi, zaadoptowanej dość dawno temu przez rodzinę Muminków. Wyobrażała sobie, że Mi jest równie rzeczowa i równie nieznośna jak dawniej i że wciąż jeszcze może się zmieścić w koszyczku z przyborami do szycia.

Gdy doszła do doliny, Wuj Truj siedział na moście łowiąc ryby za pomocą dziwnego urządzenia z siatki domowej roboty. Miał na sobie szlafrok, kamasze i kapelusz, a nad tym wszystkim trzymał otwarty parasol. Mimbla nigdy go nie widziała z bliska, przypatrywała mu się teraz badawczo i z zainteresowaniem. Był zadziwiająco mały.

- Wiem dobrze, kim jesteś - odezwał się. - A ja jestem Wujem Trujem i nikim innym! I wiem, że robicie ukradkiem przyjęcia, bo w waszych oknach świeci się cała noc!

- Jeśli w to wierzysz, to uwierzyłbyś we wszystko - odparła Mimbla niefrasobliwie. - Widziałeś małą Mi?

Wuj Truj wyciągnął z wody swoją niby to podrywkę. Nic w niej nie było.

- Gdzie jest mała Mi? - spytała Mimbla.

- Nie krzycz! - wrzasnął Wuj Truj. - Moje uszy są w doskonałym stanie, a ryby mogą się wystraszyć i odpłynąć.

- Dawno to już zrobiły - odcięła się Mimbla i pobiegła dalej.

Wuj Truj kichnął chowając się głębiej pod parasol. W jego potoku zawsze pełno było ryb. Spojrzał w dół, na brązową wodę, której połyskliwy, nabrzmiały nurt wpadał pod most unosząc tysiące różnych na wpół zatopionych rzeczy - mknęły wszystkie, mijały go i znikaly, wciąż mijały go i znikaly...

Wuja Truja zabolaly oczy. Zamknal je, zeby moc zobaczyc swój własny potok, ten czysty potok z piaszczystym dnem, w którym roilo się od zwinnych, lśniących rybek...

„Coś tu nie gra - pomyślał niespokojnie. - Most jest w porządku, ten, co powinien być. Tylko ja jestem całkiem inny...”

Jego myśli rozpierzchły się i zasnęły.

Filifionka siedziała na werandzie z nogami owiniętymi kocem i wyglądała tak, jakby była właścicielką całej doliny,

ale jakby nie sprawiało jej to żadnej przyjemności.

- Hej! - przywitała ją Mimbla. Spozrzęła od razu, że dom jest pusty.

- Dzień dobry - odparła Filifionka z oziębłą grzecznością, którą stosowała wobec wszystkich Mimbli. - Nie ma nikogo. Poszli sobie, bez jednego słowa. Dobrze chociaż, że drzwi nie były zamknięte.

- Oni nigdy nie zamykają - powiedziała Mimbla.

- Owszem - szepnęła Filifionka pochylając się do przodu poufnym gestem. - Zamknęli. Szafa na ubranie na górze jest zamknięta. W niej, oczywiście, trzymają kosztowności, to, czego boją się zgubić.

Mimbla przypatrywała się Filifionce, jej niespokojnym oczom, sztywnym lokom, z których każdy przypięty był spinką, kołnierzowi z lisa. Lis gryzł sam siebie w ogon. Filifionka nic się nie zmieniła.

Tymczasem ścieżką ogrodową, grabiąc liście, nadszedł Paszczak. Za nim biegł mały Homek i zbierał liście do koszyka.



- Hej! - powiedział Paszczak. - Więc i ty tu jesteś?

- Kto to? - spytała Mimbla.

- Miałam z sobą prezent - powiedziała Filifionka za jej plecami.

- To Homek - wyjaśnił Paszczak. - Pomaga mi trochę w ogrodzie.

- Bardzo piękny wazon porcelanowy dla Mamy Muminka - zaskrzeczała Filifionka.

- Aha - powiedziała Mimbla. - A ty grabisz, jak widzę.

- Żeby było ładnie - odparł Paszczak.

Nagle Filifionka zawołała:

- Nie trzeba ruszać starych liści! To niebezpieczne! Pełno w nich zgnilizny.

Odskoczyła w głąb werandy ciągnąc za sobą koc.

- Bakterie! - krzyczała. - Robaki! Gąsienice! Pełzające paskudztwa! Nie ruszaj ich!

Paszczak grabił dalej. Jego niewinna, uparta twarz wykrzywiła się i powtórzył ponuro:

- Żeby było ładnie, dla Tatusia Muminka.

- Wiem, o czym mówię - rzekła groźnie Filifionka, podchodząc bliżej.

Mimbla spojrzała na nich. „Stare liście - pomyślała. - Jacy ludzie są dziwni...” Weszła do domu, a potem na poddasze. Bardzo tam było zimno. Pokój gościnny od południowej strony nic się nie zmienił - biała umywalnia, wyblakły obraz z dawnych czasów przedstawiający burzę, niebieska puchowa kołdra. Dzbanek był pusty, na dnie leżał nieżywy pająk. Na środku pokoju stała podróżna torba Filifionki, na łóżku leżała różowa koszula nocna.



Mimbla przeniosła torbę i koszulę do gościnnego pokoju od północy i zamknęła drzwi. Gościnnie od południa należał do niej, to było oczywiste, równie oczywiste jak fakt, że pod koronkową serwetą przykrywającą umywalnię leżał jej własny, stary grzebień. Uniosła serwetę - grzebień był tam, gdzie zawsze.

Mimbla usiadła przy oknie, rozpuściła swoje długie, piękne włosy i zaczęła je czesać. Na dole poranna kłótnia trwała dalej, ale przez zamknięte okno nic nie było słychać.

Mimbla czesała się i czesała. Włosy trzaskały od małych, elektrycznych iskerek i błyszcząły coraz piękniej. Patrzyła roztargnionym wzrokiem na duży ogród, tak teraz zmieniony jesienną porą, że wyglądał obco i pusto. Drzewa, podobne do dekoracji teatralnych, stały jak kulisy, jedno za drugim w mokrej mgłę, całkiem nagie. Bezgłówna sprzeczka przed werandą nie ustawała. Paszczak i Filifionka wymachiwali łapkami, odbiegali i wracali, równie nieprawdziwi jak drzewa. Tylko Homek był prawdziwy, stał nieruchomo, wpatrzony w ziemię.

Nad doliną ukazał się szeroki, pełznący cień, zbliżała się następna fala deszczu. A mostem szedł Włóczykij. To był na

pewno on, bo nikt inny nie miał tak zielonego ubrania. Przystanął przy krzakach bzu, żeby popatrzeć. Potem podszedł bliżej, ale innym krokiem, znacznie wolniejszym. Mimbla otworzyła okno.

Paszczak odrzucił grabie i powiedział:

- Nic, tylko wciąż organizować i urządzić!

- Inaczej było za czasów Mamy Muminka - zauważyła od niechcenia Filifionka.

Homek przypatrywał się jej trzewikom, widać było, że są za ciasne. Zaczęło padać. Jakiś ostatni, smutny liść odczepił się od gałązki i zleciał na werandę, padało coraz bardziej.

- Hej! - powiedział Włóczykij.

Spojrzeni na siebie.

- Zdaje się, że pada - odezwała się nerwowo Filifionka. - Nie ma nikogo w domu.

Paszczak dodał:

- Jak miło, że przyszedłeś.

Włóczykij wykonał nieokreślony ruch ręką, jakby z wahaniem, schował się w cień kapelusza i odwróciwszy się, odszedł w stronę rzeki. Paszczak i Filifionka poszli za nim. Stanęli w pewnej odległości czekając, aż skończy rozstawiać namiot koło mostu. Potem Włóczykij wpełzł do środka.

- Miło, że przyszedłeś - powtórzył Paszczak.

Stali jeszcze chwilę moknąc w deszczu.

- Zasnął - szepnął Paszczak. - Musi być zmęczony.

Mimbla widziała, jak wracali do domu. Zamknęła okno i starannie upięła włosy w mocno ściągnięty, śliczny koczek.

Nie ma nic przyjemniejszego i nic prostszego, jak czuć się



wygodnie. Mimbla nie przejmowała się tymi, których spotykała i których potem nie pamiętała, nigdy nie próbowała mieszać się w ich sprawy. Przypatrywała się im i ich kłopotom z rozbawionym zdziwieniem.

Puchowa kołdra była niebieska. Mama Muminka zbierała puch przez sześć lat; teraz kołdra leżała w pokoju gościnnym od południa, przykryta narzutą z szydełkowej koronki, i czekała, żeby komuś było pod nią wygodnie. Mimbla zdecydowała, że chce mieć grzałkę w nogach, wiedziała, gdzie się ją w tym domu przechowuje. Co piąty dzień będzie myła włosy w deszczówce. O zmierzchu będzie sobie robić małą drzemkę. A wieczorem jest ciepło w kuchni po całodziennym gotowaniu.

Można leżeć na moście i patrzeć, jak przepływa pod nim woda. Albo biegać i brodzić w czerwonych botach po mokradłach. Albo zwinąć się w kłębek i przysłuchiwać się, jak deszcz pada na dach. Bardzo jest łatwo miło spędzać czas.

Listopadowy dzień dobiegał powoli końca, zbliżał się zmierzch. Mimbla wsunęła się pod puchową kołdrę, wyciągnęła długie nogi, aż kości trzasnęły, i przyłożyła stopy do grzałki. Na dworze padał deszcz. Za kilka godzin będzie akurat na tyle głodna, żeby zjeść ugotowaną przez Filifionkę kolację, i może będzie miała ochotę porozmawiać sobie z kimś. Na razie nic nie musiała robić, mogła pogрузić się w otaczające ją ciepło, cały świat był jedną wielką, miękką kołdrą okrywającą Mimblę, wszystko inne pozostawało na zewnątrz. Mimbli nigdy nic się nie śniło, spała wtedy, kiedy miała na to ochotę, i budziła się wtedy, kiedy było warto.





W namiocie panował mrok. Włóczykij wyczołgał się ze śpiwora - pięć taktów wcale się nie przybliżyło. Ani śladu muzyki. Na zewnątrz było całkiem cicho, deszcz ustał. Włóczykij postanowił usmażyć sobie kotlet wieprzowy, poszedł więc do drewnitni po drewno.

Kiedy ogień już się palił, Paszczak z Filifionką znowu zjawili się koło namiotu. Stali przypatrując się w milczeniu.

Włóczykij spytał:

- Jedliście kolację?

- Nie możemy - odparł Paszczak. - Nie możemy uzgodnić, kto ma zmywać.

- Homek - powiedziała Filifionka.

- Nie, nie Homek - sprzeciwił się Paszczak. - On mi trochę pomaga w ogrodzie. Niech Filifionka i Mimbla zajmą się gospodarstwem, są przecież kobietami, no nie? Czy nie mam racji? Ja mogę zaparzać kawę i pilnować, żeby wszystkim było przyjemnie. A Wuj Truj jest taki stary, że pozwolę mu robić, co chce.

- Że też Paszczaki zawsze muszą wszystko innym organizować! - wykrzyknęła Filifionka.

Spojrzeli oboje na Włóczykija z niepokojem i wyczekująco.

„Zmywanie - myślał Włóczykij. - Nie mają o tym pojęcia. Zmywać to znaczy wrzucić talerz do strumyka, wypłukać łąpki, wyrzucić zielony liść - to w ogóle nic nie jest. O co im chodzi?”

- Czy nie jest tak, że Paszczaki muszą wciąż coś urządzić? - zapytała Filifionka. - To ważna sprawa!

Włóczykij wstał. Trochę się ich obojga bał. Spróbował znaleźć jakąś odpowiedź, ale żadna nie wydawała mu się właściwa i wyczerpująca.

Nagle Paszczak wybuchnął:

- Nie będę nic organizował! Chcę mieszkać w namiocie i być niezależny!

Jednym szarpnięciem otworzył namiot i wpełzł do jego wnętrza, całkiem go wypełniając swoją osobą.

- Widzisz, jak to jest - szepnęła Filifionka. Zaczekała trochę, zanim odeszła.

Włóczykij zdjął patelnię z ognia, kotlet był całkiem czarny. Nabił fajkę. Po chwili zapytał ostrożnie:

- Jesteś przyzwyczajony do spania w namiocie?

Paszczak odparł ponuro:

- Nie znam lepszej rzeczy jak życie na łonie natury.

Zapadła noc. Lecz w domu Muminków świeciło się w dwóch oknach, tak samo spokojnie i łagodnie jak zawsze dawniej wieczorami.

Filifionka, z kocem podciągniętym pod sam pyszczek, leżała w pokoju gościnnym od północnej strony, na głowie miała mnóstwo papilotów, które uwierały ją w kark. Liczyła sęki w suficie i była głodna.

Cały czas, od samiotkiego początku, myślała, że to ona

będzie gotować. Lubiała ustawiać na półkach piękne rzędy słoików i torebek, bawiło ją wymyślanie nowych sposobów przemykania starych resztek w zapiekankach i krokietach, tak żeby ich nikt nie rozpoznał. Uwielbiała gotować możliwie najoszczędniej, żeby się nie zmarnowało nawet najmniejsze ziarenko kaszy manny.

Duży gong rodzinny wisiał na werandzie. Filifionka zawsze marzyła, żeby być tą, która oznajmia o obiedzie uderzając w dźwięczny mosiądz. Bing, bong - rozbrzmiewałyby w całej dolinie i wszyscy biegliby wołając: „Obiad! Obiad! Co nam dasz dzisiaj? Ach, jacy jesteśmy głodni!”

Filifionce lzy zakręciły się w oczach. Bo Paszczak popsuł jej całą przyjemność. Byłaby też zmywała, nawet chętnie, gdyby tylko sama mogła to zaproponować. Ale pomyśl, że ona ma prowadzić gospodarstwo, bo jest kobietą! Też coś! I w dodatku z Mimblą!

Zgasła światło, żeby się nie paliło niepotrzebnie, i naciągnęła koc na głowę. Zatrzeszczały schody. Z dołu, z salonu, dochodziło jakieś ciche, bardzo ciche szuranie. Ktoś gdzieś zamknął drzwi w pustym domu. „Skąd w nie zamieszkanym domu tyle odgłosów?” - myślała Filifionka. Potem przypomniała sobie, że jest w nim przecież pełno różnych osób. Ale jej się jakoś wciąż wydawało, że jest pusty.

Wuj Truj leżał na kanapie w salonie, z nosem zagrzebanym w najładniejszej aksamitnej poduszce. Wtem usłyszał, że ktoś skrada się do kuchni. Zadzzwoniło delikatnie szkło. Usiadł w ciemności i nastawił uszu. „Urządzają przyjęcie” - pomyślał.

I znów zapanowała całkowita cisza. Wuj Truj wstał i przeszedł po zimnej podłodze aż do drzwi prowadzących do kuchni. W kuchni też było ciemno, ale pod drzwiami do spiżarni świeciła smuga światła.

„Aha - pomyślał. - Schowali się w spiżarni”. Otworzył gwałtownie drzwi - a w spiżarni siedziała Mimbla i jadła kiszzone ogórki. Koło niej stały na półce dwie zapalone świece.

- Ach, więc i ty wpadłeś na ten sam pomysł - powiedziała.

- Tu masz ogórki, a tu sucharki cyrkonowe. Tamto to są korniszony, lepiej ich nie jedz, za ostre dla ciebie.

Wuj Truj natychmiast wziął słoik z korniszonami i zaczął jeść. Nie smakowały mu, ale jadł mimo to. Po chwili Mimbla powiedziała:

- Twój żołądek nie znieś korniszonów. Pęknieś i umrzesz na miejscu.

- Nie umiera się na wakacjach - odparł wesoło Wuj Truj. - Co oni tam mają w wazie na zupę?

- Igliwie - rzekła Mimbla. - Napychają nim żołądki przed zapadnięciem w sen zimowy.

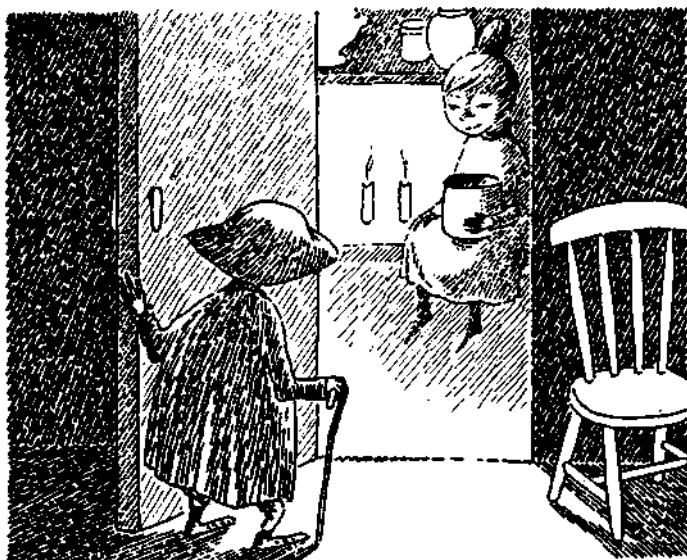
Podniosła przykrywą i powiedziała:

- Wygląda na to, że najwięcej zjadł przodek.

- Jaki przodek? - zapytał Wuj Truj przerzucając się ukradkiem na ogórki.

- Ten z pieca kaflowego - wyjaśniła Mimbla. - Ma trzysta lat i zapadł teraz w sen zimowy.

Wuj Truj nic nie odpowiedział. Nie był pewien, czy to, że jest ktoś jeszcze od niego starszy, sprawia mu przyjemność, czy też obraża go. Sprawa ta wydała mu się bardzo interesująca, postanowił więc obudzić przodka i zapoznać się z nim.



- Słuchaj - odezwała się Mimbla. - Nie warto próbować. I tak nie obudzi się przed kwietniem. Zjadłeś pół słoika ogórków.

Wuj Truj wydał policzki i zmarszczył nos, wsadził kilka ogórków i sucharków cynamonowych do kieszeni, wziął jedną ze świec i podreptał z powrotem do salonu. Postawił świecę na podłodze przed piecem kaflowym i otworzył drzwiczki.

W środku nie było nic poza ciemnością. Wuj Truj wsunął świecę do pieca i zajrzał. Nic, tylko kawałek papieru i odrobina sadzy, która spadła z komina.

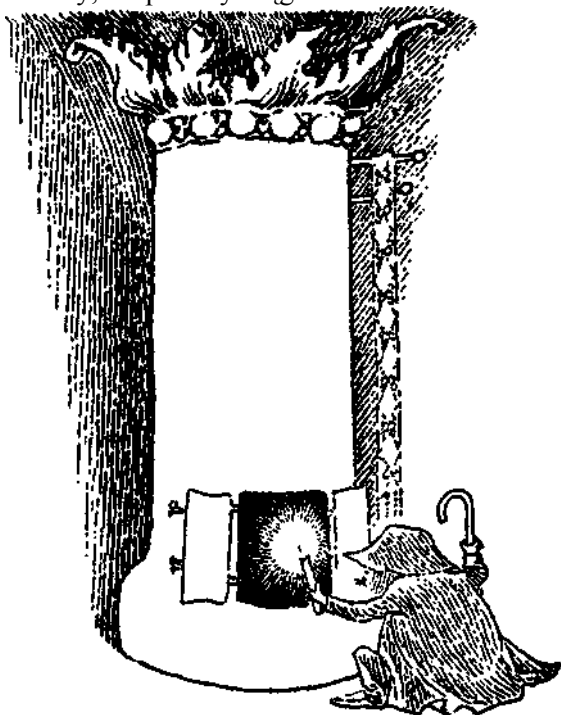
- Jesteś tam? - zawołał. - Obudź się! Chcę zobaczyć, jak wyglądasz!

Ale przodek nie odpowiadał. Spał snem zimowym, z żołądkiem pełnym igliwia.

Wuj Truj wyciągnął leżący w piecu papierek i stwierdził, że to list. Usiadł na podłodze, starając się przypomnieć sobie, gdzie zostawił okulary, ale nie mógł. Schował więc list w bezpieczne miejsce, zgasił świecę i zakopał się z powrotem w poduszki.

„Ciekaw jestem, czy przodkowi wolno brać udział w tych przyjęciach - myślał posepnie. - Obojętne zresztą. Ja i tak spędziłem bardzo przyjemny dzień. Mój całkiem własny dzień”.

Homek Toft leżał w schowku na poddaszu i czytał swoją książkę. W tym dużym, obcym domu światło wokół niego tworzyło mały, bezpieczny krąg.



Jak już wspominaliśmy poprzednio - czytał Homek - ów ciekawy gatunek czerpał energię z wyładowań elektrycznych, powstających regularnie w wąskich dolinach i oświetlających noc białym i fioletowym światłem. Możemy sobie wyobrazić, jak ten ostatni z wygasających gatunków Nummulitów zbliża się powoli do powierzchni, jak szuka drogi do bezkresnych moczarów w lasach przesiąkniętych deszczami, gdzie błyskawice odbijają się w pęcherzykach na powierzchni bagien, i jak opuszcza ostatecznie swój pierwotny żywioł.

„Musiał być bardzo samotny - myślał Toft. - Był inny od reszty i jego rodzina nie dbała o niego, dlatego odszedł. Ciekaw jestem, gdzie teraz jest i czy kiedykolwiek go spotkam. Może się pokaże, jeżeli potrafię opowiedzieć sobie o nim dość jasno”.

Homek Toft rzekł:

- Koniec rozdziału.

I zgasił światło.





Podczas gdy szarzał leniwy świt i noc listopadowa przeobrażała się w ranek, znad morza nadciągnęła mgła. Uniosła się zboczami gór i po drugiej ich stronie spłynęła w doliny wypełniając je po brzegi. Włóczykij postanowił wcześniej się obudzić, bo chciał mieć kilka godzin dla siebie. Ognisko dawno już wygasło, ale nie czuł zimna. Miał tę prostą, lecz rzadką umiejętność zachowywania własnego ciepła, gromadził je przy sobie i leżał całkiem nieruchomo, pilnując się, żeby nie śnić.

Mgła przyniosła absolutną ciszę, dolina tkwiła w bezruchu.

Włóczykij obudził się szybko, tak jak to robią zwierzęta, od razu całkiem przytomny. Pięć taktów, na które czekał, trochę się przybliżyło.

„Dobrze - pomyślał. - Filizanka czarnej kawy i będę je miał”. (Powinien był zrezygnować z kawy).

Poranny ogień zatlił się i rozpalił. Włóczykij napełnił dzbanek do kawy wodą z rzeki, postawił go na ogniu i - robiąc krok w tył - przewrócił się na grabiach Paszczaka. Rondelek ze straszliwym hałasem stoczył się po pochyłym brzegu do rzeki, a Paszczak wystawił z namiotu swój wielki nos i powiedział:

- Hej!

- Hej, hej! - odparł Włóczykij.

Paszczak przyczołgał się do ogniska ze śpiworem na głowie, zmarznięty i zaspany, lecz z silnym postanowieniem, że będzie miły.

- Życie na łonie natury! - odezwał się.

Włóczykij pilnował kawy.

- Pomyśl tylko - mówił dalej Paszczak. - Móc słyszeć wszystkie tajemnicze, nocne odgłosy z wnętrza prawdziwego namiotu! Nie masz czegoś, co pomaga, jak ci zawieje uszy? Co?

- Nie - odparł Włóczykij. - Z cukrem czy bez?

- Z cukrem, najlepiej cztery kawałki - odpowiedział Paszczak. Zrobiło mu się ciepło z przodu i plecy trochę przestały boleć. Kawa była bardzo gorąca.

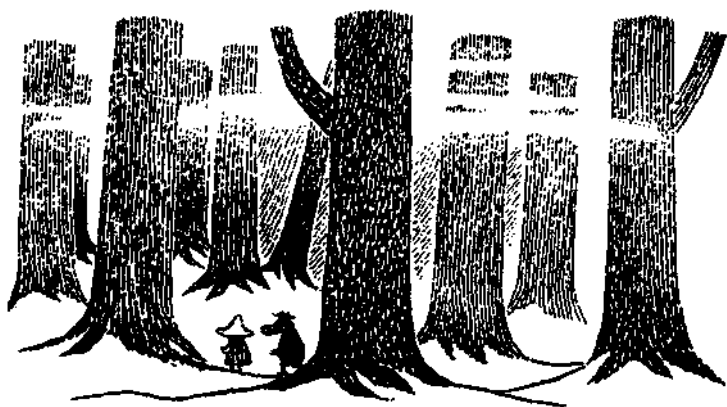
- Wiesz - zwierzył się Włóczykijowi - takie to jest miłe, jeśli chodzi o ciebie, że mało mówisz. Wydajesz się niesłychanie mądry, dlatego że się nie odzywasz. To mnie zachęca do opowiedzenia ci o mojej łodzi.

Mgła powoli podniosła się. Wokół nich, także przy butach Paszczaka, zaczęła się wylaniać mokra, czarna ziemia, ale głowę Paszczak miał jeszcze ciągle we mgle.

Poza uszami nic mu właściwie nie dokuczało, kawa rozgrzała go i nagle poczuł się beztroski i wesoły.

- Wiesz co - powiedział - my się rozumiemy, ty i ja. Łódka Tatusia jest przy kabinie kąpielowej, prawda?

Przypomnieli sobie wąski, samotny pomost, wsparty niepewnie na szerniałych słupach, i kabinę kąpielową na jego końcu, ze spiczastym dachem, z czerwonymi



i zielonymi szybkami w oknach i małymi, stromymi schodkami schodzącymi do wody.

- Wątpię, żeby łódka jeszcze tam była - powiedział Włóczykij odstawiając kubek. A w duchu pomyślał: „Oni odpłynęli. Nie mam ochoty rozmawiać o nich z tym całym Paszczakiem”.

Ale Paszczak pochylił się ku niemu i powiedział poważnie:

- Musimy pójść zobaczyć. Tylko ty i ja, tak będzie przyjemniej.

Wyruszyli. Mgła podnosiła się i rozpraszala, w lesie powstawał z niej biały pułap podtrzymywany przez czarne słupy pni - wyniosły, uroczysty krajobraz stworzony dla ciszy. Paszczak myślał o swojej łodzi, ale nie odzywał się. Szedł cały czas za Włóczykijem, aż do brzegu morza, i nareszcie wszystko znowu zrobiło się proste i miało sens.

Pomost kąpielowy stał tak samo jak zawsze. Żaglówki nie było. Drewniana kładka i kosz na ryby znajdowały się powyżej górnego poziomu wody w czasie przyływu, jolka

leżała wyciągnięta wysoko, aż na skraj lasu. Mgła słała się nad wodą, wszystko było łagodne i szare, brzeg, powietrze, cisza.

- Wiesz, jak ja się czuję? - zawołał Paszczak. - Czuję się całkiem - całkiem nadzwyczajnie! Uszy przestały mnie boleć.

Ogarnęła go nagle potrzeba zwierzenia się, opowiedzenia o swoich usiłowaniach, by wszystko urządzić tak, żeby innym też było dobrze, ale był zanadto nieśmiały i nie umiał znaleźć odpowiednich słów.

Włóczykij szedł dalej. Wzdłuż całego wybrzeża, jak okiem sięgnąć, ciągnął się ciemny wał wszystkiego tego, co zostało naniesione podczas przyływów i sztormów: różne wyrzucone i zapomniane rzeczy, splątane pod wodorostami i trzciniami, szerniałe i nasiąknięte wodą. W potrzaskanych kawałkach drewna pełno było gwoździ i pogiętych żelaznych klamer. Morze nadgryzło brzeg aż po granicę pierwszych drzew, z ich gałęzi zwisały wodorosty.

- Był silny wiatr - powiedział Włóczykij.

- Ja się tak strasznie staram! - wybuchnął idący za nim Paszczak. - Tak okropnie chcę!

Włóczykij wydał swoje charakterystyczne, nieokreślone mruknięcie, oznaczające, że usłyszał, ale nie ma nic do powiedzenia. Wszedł na pomost prowadzący do kabiny kąpielowej. Piaszczyste dno pod pomostem przysłaniała brązowa masa, lekko kołysząca się w ślad za ruchami wody - były to trawy morskie porwane na strzępy przez sztorm.

Mgła nagle pierzchła i chyba żadne wybrzeże na całym świecie nie miało bardziej opustoszałego wyglądu.

- Rozumiesz? - spytał Paszczak.

Włóczykij przygryzał fajkę patrząc w dół na wodę.

- Tak, tak - odparł. A po chwili powiedział: - Uważam, że małe łodzie powinny być budowane systemem zakładkowym.

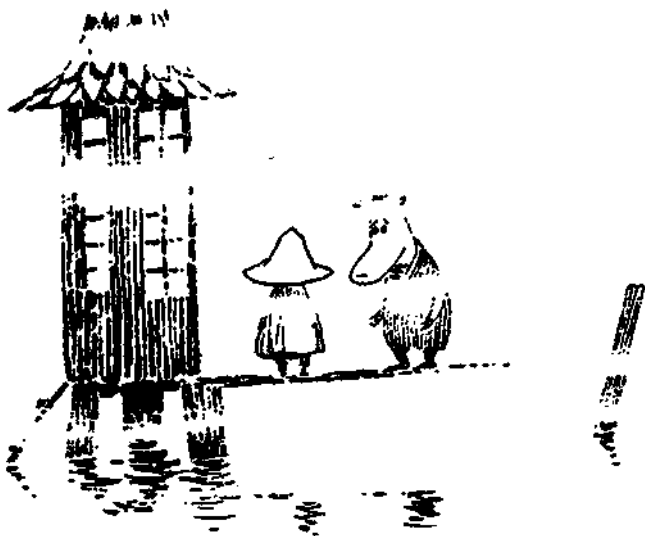
- Ja też tak uważam - zgodził się Paszczak. - Moja łódź tak właśnie jest zbudowana. To na pewno jest najlepsze dla małych łodzi. I trzeba je smołować, nie lakierować, prawda? Smołuję moją łódź każdej wiosny, zanim wypłynę. Posłuchaj mnie. Czy możesz mi pomóc w jednej sprawie. Chodzi o żagiel. Nie mogę się zdecydować, czy ma być biały, czy czerwony. Biały zawsze jest dobry, taki klasyczny, no nie? Ale potem pomyślałem o czerwonym, byłby śmiały w jakimś sensie. Jak uważasz? Nie myślisz, że wyglądałby może zbyt wyzywająco?

- Nie, nie sędzę - odpowiedział Włóczykij. - Może być czerwony. - Bardzo mu się chciało spać i tylko na jedno miał ochotę: wpełznąć do namiotu i zamknąć się w nim.

Przez całą drogę powrotną Paszczak opowiadał o swojej łodzi.

- Dziwną rzecz zauważyłem u siebie - mówił. - Takie czuję pokrewieństwo ze wszystkimi, którzy lubią łodzie. Weź na przykład Tatusia Muminka. Któregoś pięknego dnia wciąga żagiel i wyrusza, tak sobie po prostu. Całkowicie wolny. Czasami, wiesz, czasami myślę, że Tatuś Muminka i ja jesteśmy do siebie podobni. Tylko trochę, oczywiście, ale jednak...

Włóczykij wydał swoje nieokreślone mruknięcie.



- Tak. To prawda - rzekł Paszczak spokojnie. - I czy nie uważasz, że jest coś niesłychanie znaczącego w tym, że łódź Tatusia nazywa się „Przygoda”?

Rozstali się przy namiocie.

- To był bardzo przyjemny ranek - stwierdził Paszczak. - Dziękuję ci, że mi dałeś mówić.

Włóczykij zamknął się. Jego namiot miał zielony, letni kolor, taki, który daje złudzenie, że na dworze jest słońce.

Ranek dobiegał już końca, kiedy Paszczak wrócił do domu.

Zaczynał się teraz dzień dla innych, dla tych, którzy nic nie wiedzieli o tym, co dane było przeżyć Paszczakowi.

Filifionka otworzyła okno w swoim pokoju, żeby go wywietrzyć.

- Dzień dobry! - zawołał Paszczak. - Spałem w namiocie! Słyszałem wszystkie odgłosy nocy!

- Jakie odgłosy? - spytała kwaśno Filifionka, zatykając haczyki w oknie.

- Odgłosy nocy - powtórzył Paszczak. - To znaczy takie, które słyhać w nocy...

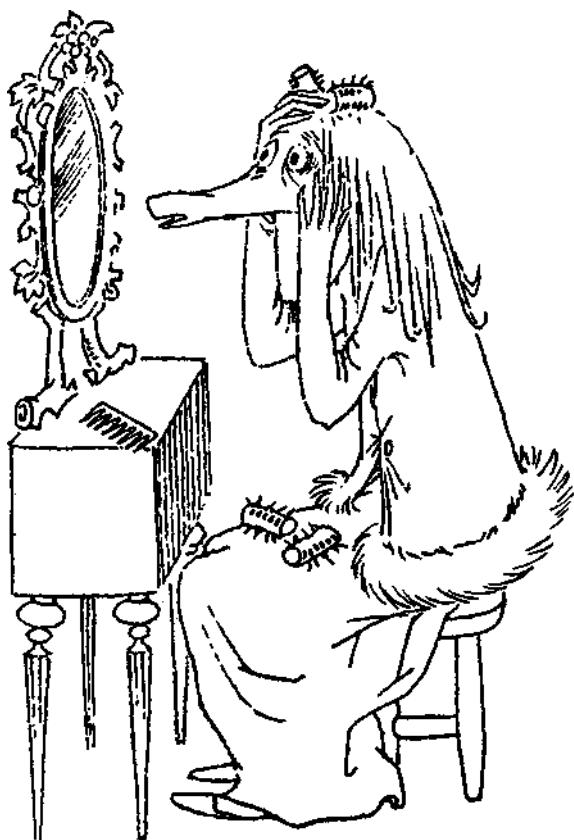
- Aha - powiedziała Filifionka.

Nie lubiła okien, były niebezpieczne, nigdy się z nimi nic nie wiedziało, otwierały się od wiatru, zatrzaśkiwały... Chłód w pokoju gościnnym od północnej strony był gorszy niż na dworze. Filifionka usiadła przed lustrem, drząc z zimna, powyjmowała papiloty z włosów i przyszło jej na myśl, że zawsze mieszka od północy, nawet u siebie w domu, a to tylko dlatego, że Filifionce nigdy nic nie układa się tak, jak powinno.

Włosy nie wyschły porządnie, cóż dziwnego w takiej wilgoci, loki opadły, wyglądały jak proste druty, wszystko było źle, każda rzecz, nawet ranne uczesanie, tak bardzo ważne, i jeszcze ta Mimbla w domu, i w ogóle wszystko. Dom był wilgotny, zatechły i zakurzony, trzeba by go przewietrzyć, najpierw taki przeciąg na krzyż przez wszystkie pokoje, potem ogromne ilości ciepłej wody i cudowne, wielkie, gruntowne sprzątanie...

Lecz gdy tylko pomyślała o wielkim sprzątaniu, poczuła zawrót głowy i rosnącą w żołądku falę mdłości: na jedną przerażającą chwilę zawisła nad przepaścią. Wiedziała: „Już nigdy więcej nie będę mogła sprzątać. Jak ja będę żyła bez sprzątania i gotowania? Przecież nic innego nie warto robić”.

Zeszła bardzo powoli na dół. A oni tam siedzieli na werandzie i popijali kawę. Spojrzała na nich.



Zobaczyła bezkształtny kapelusz Wuja Truja, rozkochaną głowę Homka, mocny kark Paszczaka, trochę zaczerwieniony od porannego chłodu; siedzieli tam wszyscy, a włosy Mimbli były, ach, mój Boże, takie piękne! - i naraz ogarnęło ją wielkie zmęczenie. Pomyślała: „Oni mnie wcale nie lubią”.

Filifionka rozglądała się stojąc na środku salonu. Paszczak nakręcił zegar, meble stały na swoich miejscach,

lecz wszystko, co się kiedykolwiek w tym salonie działo, było niedostępne i ukryte, nie chciało mieć z nią nic wspólnego.

Nagle, bardzo szybko, poszła do kuchni po drewno. Chciała rozpalić w piecu duży ogień, żeby ogrzać opuszczony dom i wszystkich tych, którzy starali się w nim mieszkać.

- Posłuchaj no, ty tam w środku, jak się nazywasz? - zawołał Wuj Truj stając przed namiotem. - Wyratowałem przodka! Mego przyjaciela przodka! Zapomniała, że on mieszka w piecu. Jak mogła! A teraz leży na łóżku i płacze.

- Kto? - spytał Włóczykij.

- Ta z lisem, naturalnie - wybuchnął Wuj Truj. - Czy to nie okropne?!

- Uspokoi się - mruknął Włóczykij wewnątrz namiotu.

Wuj Truj był zaskoczony i bardzo zawiedziony. Stał uderzając laską w ziemię i mówił sam do siebie mnóstwo brzydkich rzeczy. A potem poszedł na most, gdzie siedziała Mimbla i czesała włosy.

- Widziałaś, jak wyratowałem przodka? - spytał srogo. - Jeszcze sekunda, a byłby się spalił.

- Ale nie spalił się - powiedziała Mimbla.

Wuj Truj wyjaśnił jej:

- Nikt z was w dzisiejszych czasach nie rozumie się na wielkich wydarzeniach. Wszyscy macie niewłaściwe uczucia. Ty może nawet wcale mnie nie podziwiasz. - Wyciągnął z wody swoje urządzenie do łowienia. Nic w nim nie było.

- W tej rzece ryby są na wiosnę - zauważyła Mimbla.

- To nie żadna rzeka, tylko potok! - zawołał Wuj Truj. - Mój potok i pełno w nim ryb!

- Słuchaj no, Wuju Truju - powiedziała Mimbla. - To nie jest ani rzeka, ani potok. To strumień. Ale rodzina nazywa go rzeką, więc mówi się o nim rzeka. Tylko ja jedna widzę, że to strumień. Dlaczego robisz tyle szumu o coś, czego nie ma albo się nie zdarzyło?

- Żeby było zabawniej - burknął Wuj Truj.

Mimbla wciąż się cesała, grzebień szeleścił jak woda na piaszczystym brzegu, fala za falą, leniwie, spokojnie.

Wuj Truj wstał i powiedział bardzo godnie:

- Jeżeli nawet widzisz, że to strumień, nie musisz chyba o tym mówić? Okropne dziecko. Dlaczego chcesz mi zrobić przykrość?

Mimbla ze zdziwienia przestała się cesać.

- Lubię cię - odparła. - Nie chcę ci robić przykrości.

- To dobrze - rzekł Wuj Truj. - Ale w takim razie przestań mówić o tym, jakie wszystko jest, i daj mi wierzyć w przyjemne rzeczy.

- Spróbuję - zgodziła się Mimbla.

Wuj Truj był bardzo zdenerwowany. Ciężko stąpając podszedł do namiotu i zawołał:

- Hej, tam w środku! Czy to jest potok, czy rzeka, czy strumień? Są ryby czy ich nie ma? Dlaczego nic nie jest tak, jak dawniej? A ty kiedy wyjdiesz i zainteresujesz się czymkolwiek?

- Niedługo - odparł Włóczykij opryskliwie. Słuchał pełen napięcia, ale Wuj Truj nic już więcej nie powiedział.

„Muszę do nich wyjść - myślał Włóczykij. - To wszystko

jest bez sensu. Po co tu w ogóle wracałem, co ja mam z nimi wspólnego, oni nie mają pojęcia o muzyce”. Przewrócił się na plecy, położył na brzuchu, zakopał nos w śpiwór. Lecz cokolwiek robił, oni wciąż zjawiali się w jego namiocie, cały czas w nim byli, Paszczak ze swymi niespokojnymi oczami, Filifionka płacząca na łóżku i Homek, który tylko milczał wpatrzony w ziemię, i stary, całkiem skołowany Wuj Truj... byli wszędzie, w samym środku jego głowy, a na dodatek w namiocie pachniało Paszczakiem.

„Muszę wyjść - uznał Włóczykij. - Już lepiej być z nimi niż o nich myśleć. Jak oni się różnią od rodziny Muminków...” Wtem, całkiem nieoczekiwanie, zatęsknił za rodziną. Oni też bywali uciążliwi. Chcieli rozmawiać. Wszędzie się kręcili. Ale przy nich mógł być sam z sobą. „Jak oni się właściwie zachowywali? - zastanawiał się Włóczykij ze zdumieniem. - Jak to się stało, że spędziłem z nimi tyle długich, letnich miesięcy i nigdy nie zauważyłem, że przy nich mogę być sam z sobą?”





Bardzo powoli i ostrożnie Homek Toft czytał, co następuje: *Żadne słowa nie są w stanie opisać tego okresu zamieszania, jaki musiał nastąpić po ustaniu zjawisk elektrycznych. Mamy podstawy do przypuszczeń, że Nummulit, ów unikalny fenomen, który mimo wszystko można nadal zaliczać do grupy Protozoa, był opóźniony w rozwoju i przeszedł okres karłowacenia. Zdolność fosforyzowania zanikła i nieszczęsny stwór wiódł odosobniony żywot w szczelinach i głębokich dziurach dających mu chwilowe schronienie przed światem zewnętrznym.*

- Więc to tak - szepnął Toft. - Teraz każdy może go napaść, przestał już być elektryczny... już tylko kurczy się i kurczy, i nie wie, co z sobą zrobić...

Homek Toft skulił się w zwoju sieci i zaczął sobie opowiadać. Opowiadał sobie, jak ów stwór przychodzi do doliny, w której mieszka pewien Homek umiejący robić elektryczne burze. Wąską, długą dolinę rozświetlają fioletowe i białe błyski, najpierw dalekie, potem coraz bliższe i bliższe...

Ani jedna ryba nie złapała się do dziwnego urządzenia Wuja Truja. A on sam zasnął na moście, z kapeluszem

zsuniętym na nos. Obok, na dywaniku zabranym sprzed pieca, leżała Mimbla i patrzyła w brunatną, mknącą wodę. Paszczak siedział koło skrzynki na listy i malował duże litery na kawałku dykty. „Dolina Muminków” - pisał mahoniową bejcą.

- Dla kogo to? - zapytała Mimbla. - Jeśli ktoś doszedł aż tu, to przecież wie, że tu jest.

- Nie, to nie dla innych - wyjaśnił Paszczak. - To dla nas.

- Ale po co? - zdziwiła się Mimbla.

- Nie wiem - odparł Paszczak, sam też zdziwiony.

Malował właśnie ostatnią literę i zastanawiał się. A potem powiedział:

- Może po to, żeby być pewnym. Jest coś specjalnego, jeżeli chodzi o nazwy, o ile wiesz, co mam na myśli.

- Wiem - odparła Mimbla.

Paszczak wyjął z kieszeni duży gwóźdź i zaczął przybijać dyktę do poręczy mostu. Obudziło to Wuję Truja, który mruknął:

- Ratujcie przodka...

Lecz Włóczykij wyskoczył z namiotu krzycząc:

- Co robisz? Przestań natychmiast!

Nigdy jeszcze nie widzieli, żeby Włóczykij stracił panowanie nad sobą, wystraszyło ich to i zażenowało. Nikt na niego nie patrzył. Paszczak wyciągnął gwóźdź.

- Nie musisz się obrażać! - krzyczał Włóczykij agresywnie. - Przecież wiesz!

Każdy Paszczak powinien wiedzieć, że Włóczykij nienawidzi ogłoszeń, wszystkiego, co przypomina, że coś



jest prywatną własnością: „Wstęp wzbroniony”, „Teren zamknięty”, „Przejścia nie ma”. Jeżeli ktokolwiek choć w najmniejszym stopniu interesuje się Włóczykijem, ten wie, że tablica z ogłoszeniem jest jedyną rzeczą, która go może rozzłościć, sprawić, że czuje się bezdomny i zdany na łaskę innych. Ale teraz Włóczykij skompromitował się. Krzyczał, zrobił awanturę, a to było nie do wybaczenia, nawet jeśli ktoś wyciągnął wszystkie gwoździe świata!

Paszczak spuścił dyktę do rzeki. Litery szybko ściemniały, zrobiły się nieczytelne, tablicę porwał prąd i uniósł do morza.

- Patrz - powiedział Paszczak. - Popłynęła. Może nie była tak ważna, jak myślałem.

Jego głos zmienił się, bardzo nieznacznie. Było w nim odrobinę mniej szacunku, dystans między nimi zmalał - nie bez powodu.

Włóczykij nie odpowiedział, tylko ciągle stał bez ruchu.

Potem nagle pobiegł do skrzynki na listy przy poręczy mostu, uniósł wieko i zajrzał do środka, i jeszcze pobiegł do dużego klonu, i wsadził rękę do pustego pnia.

Wuj Truj zerwał się krzycząc:

- Czekasz na list?

Włóczykij był już przy drewnitni. Przewrócił pień do rąbania drzewa, wszedł do środka i zaczął szukać za półeczką przyokienną nad warsztatem stolarskim.

- Szukasz okularów? - spytał Wuj Truj zaciekawiony.

Włóczykij nie przerywał szukania.

- Chcę szukać w spokoju - odparł.

- Co ty mówisz! - wykrzyknął Wuj Truj, idąc za nim jak tylko mógł najszybciej. - Masz absolutną rację. Swego czasu szukałem całymi dniami różnych rzeczy, imion i słów, i najgorsze było, jak inni starali się mi pomóc.

Złapał Włóczykija za płaszcz i mocno trzymając mówił:

- Wiesz, jak to było przez cały dzień? W ten sposób: „Gdzie to widziałeś ostatni raz? Postaraj się przypomnieć sobie. Kiedy to się stało? Gdzie to się stało?” Ha, ha! Teraz koniec z tym wszystkim. Zapominam i gubię, co mi się tylko podoba. Wiesz co, powiem ci coś...

- Wuju Truju - rzekł Włóczykij. - Na jesieni ryby pływają wzdłuż brzegu. Nie ma ich w środku rzeki.

- Potoku - poprawił go radośnie Wuj Truj. - To pierwsze rozsądne zdanie, jakie dziś usłyszałem. - I zaraz odszedł.

Włóczykij szukał dalej. Starał się znaleźć list od Muminka, pożegnalny list, który musi gdzieś być, bo Muminek nigdy nie zapomina powiedzieć „Do widzenia”. Lecz wszystkie ich kryjówki były puste.

Jedynie Muminek wiedział, jak się pisze do Włóczykija. Rzeczowo i krótko. Nic na temat obietnic, tęsknoty,

smutnych spraw. I z czymś wesołym na zakończenie.

Włóczykij wszedł do domu. Odkręcił wielką, drewnianą gałkę w balustradzie przy schodach, ale tam też było pusto.

- Pusto! - odezwała się Filifionka za jego plecami. - Jeżeli szukasz ich kosztowności, to ich tu nie ma. Są w szafie na ubrania, a szafa zamknięta.

Filifionka siedziała na progu swojego pokoju, z kocem na nogach i kołnierzem z lisa owiniętym wysoko, aż pod nos.

- Oni nigdy nie zamykają - powiedział Włóczykij.

- Jak zimno - otrząsnęła się Filifionka. - Dlaczego mnie nie lubicie? Dlaczego nie znajdziesz mi jakiegoś zajęcia?

- Mogłabyś zejść do kuchni - mruknął Włóczykij. - Tam jest cieplej.

Filifionka nie odpowiedziała. Gdzieś w oddali zagrzmiało.

- Nigdy nie zamykają - powtórzył Włóczykij. Podeszedł do szafy i otworzył drzwi. Szafa była pusta. Zszedł po schodach nie oglądając się.

Filifionka powoli wstała. Widziała, że w szafie nic nie ma, ale z zakurzonej ciemności wydostawał się okropny, dziwny zapach - dławiący, słodkawy zapach zgnilizny. W szafie nie było nic poza zjedzoną przez mole wełnianą łapką do garnków i miękkim, szarym dywanem z kurzu.

Filifionka pochyliła się, cała drżąca. Czyż nie dostrzegła w tym kurzu drobnych śladów rozchodzących się w różne strony, bardzo drobnutkich, prawie niezauważalnych?... Coś mieszkało w szafie i zostało wypuszczone. Coś takiego, co

wyłazi spod odwróconego kamienia, co pełza pod gnijącymi roślinami; nie myliła się - teraz wszystko to powychodziło! Porozlazily się te paskudztwa chrobocząc nóżkami, chrzęszcząc twardymi grzbietami, macając czułkami, pełzną na miękkich, białych brzuchach... Wrzasnęła:

- Homku! Chodź tutaj!

Toft wyszedł ze swojego poddasza wymiętoszony i zakłopotany i patrzył na nią, jakby jej nie poznając. Rozdął nozdrza, bo silnie pachniało elektrycznością, zapach był świeży, ostry.

- Wyszły! - wołała Filifionka. - Mieszkały tam w środku, a teraz wyszły!

Drzwi od szafy otworzyły się i Filifionka spostrzegła, że coś się poruszyło. Błysk niebezpieczeństwa. Wrzasnęła! Ale to było tylko lustro na wewnętrznej stronie drzwi, szafa nadal była pusta. Homek Toft podszedł zasłaniając usta łapkami, oczy zrobiły mu się okrągłe i czarne jak węgiel. Zapach elektryczności był coraz mocniejszy.

- Wypuściłem to - szepnął. - To istnieje i teraz to wypuściłem.

- Co wypuściłeś? - spytała Filifionka trwożnie.

Homek potrząsnął głową.

- Nie wiem - odparł.

- Przecież musiałeś je widzieć - rzekła Filifionka. - Przypomnij sobie. Jak wyglądały?



Lecz Homek pobiegł z powrotem na poddasze i zamknął drzwi. Serce mu biło gwałtownie, czuł dreszcze w plecach. Więc to rzeczywiście była prawda. Stwór przyszedł. Był w dolinie.

Otworzył książkę we właściwym miejscu i czytał litera po literze, jak tylko mógł najszybciej: *Zgodnie z naszymi przypuszczeniami, jego struktura dostosowała się stopniowo do nowych okoliczności, a konieczność zapanowania nad nimi stworzyła pomalą warunki, w których przeżycie zdawało się możliwe. Ta egzystencja, którą odważamy się zaszeregować jako czysty domysł, jako hipotezę, przechodziła przez czas nieokreślony dalsze etapy swego zagadkowego rozwoju, z tym że jej model zachowania bynajmniej się nie włączył w bieg wypadków, który przywykliśmy uważać za normalny...*

- Nic nie rozumiem - szepnął Homek. - Tylko słowa i słowa... Jeżeli się nie pospieszę, to wszystko będzie źle!

Położył się na książce, z łapkami wczepionymi we włosy, i zaczął opowiadać sobie, bezładnie i z rozpaczą, wiedział bowiem, że Stwór cały czas maleje i ledwo już sobie radzi.

Burza była coraz bliżej! Błyskało się ze wszystkich stron! Wszędzie dookoła trzaskały elektryczne iskierki, drzewa drżały. A Stwór wyczuł, że nadszedł moment - zaczął rosnać, rosnać... Rozmnożyły się błyskawice, tyle ich było, raz tu, raz tam, białych i fioletowych! Stwór zrobił się jeszcze większy, był już tak duży, że prawie nie potrzebował rodziny...

Homek Toft poczuł ulgę. Położył się na plecach i spojrzał w okno poddasza, za którym kłębiły się szare chmury.

Słyszał grzmoty gdzieś daleko. Brzmiały tak, jak czyjś gardłowy pomruk poprzedzający wybuch gniewu.

Filifionka schodziła ze schodów krok po kroku. Sądziła, że te małe paskudztwa nie rozpełzły się w różne strony, tylko zbiły razem w zwartą masę, która czekała gdzieś w jakimś wilgotnym, ciemnym kącie. I siedziały tam w całkowitym milczeniu, w którejs z ukrytych, gnijących, jesiennych dziur. Albo może przeciwnie! Może były pod łózkami, w szufladach komody, w jej własnych trzewikach - gdziekolwiek!

„To nie jest sprawiedliwe - myślała Filifionka. - Nic takiego nie zdarza się nikomu z moich znajomych, tylko mnie”. Wystraszona, pobiegła długimi susami do namiotu. Przez chwilę mocowała się rozpaczliwie z zamkniętym wejściem, szepcząc:

- Otwórz, otwórz mi... To ja, Filifionka!

Wewnątrz namiotu poczuła się bezpieczniej, opadła na śpiwór i obejmując ramionami kolana powiedziała:

- Wyszły. Zostały wypuszczone z szafy i mogą być wszędzie... Miliony ohydnych owadów, które siedzą i czekają...

- Czy ktoś jeszcze je widział? - zapytał Włóczykij ostrożnie.

- Oczywiście, że nie! - odparła niecierpliwie.- One czekały na mnie!

Włóczykij wystukiwał fajkę starając się wymyślić coś do powiedzenia. Znowu zagrzmiało.

- Nie zaczynaj tylko mówić, że będzie burza - odezwała się Filifionka z groźbą w głosie. - I nie twierdź, że te owady

poszły sobie albo że ich nie ma, albo że są małe i sympatyczne, bo to i tak nic mi nie pomoże.

Włóczykij spojrzał jej prosto w oczy i powiedział:

- Jest miejsce, gdzie nigdy nie będą mogły wejść. Kuchnia. Nigdy nie wejdą do kuchni.

- Jesteś całkiem pewien? - spytała Filifionka ostro.

- Wiem, że tak jest - odparł.

Znowu rozległ się grzmot, tym razem całkiem blisko. Włóczykij popatrzył na Filifionkę i uśmiechnął się.

- A burza jednak będzie - powiedział.

Rzeczywiście znad morza szła straszna burza. Błyskawice były białe albo fioletowe, nigdy nie widział ich tyłu naraz ani tak pięknych. Dolinę ogarnął nagły zmrok. Filifionka uniosła spódnicę, przebiegła wielkimi susami przez ogród i zatrzasnęła za sobą drzwi od kuchni.



Włóczykij z nosem do góry węszył w powietrzu, było zimne jak żelazo. Pachniało elektrycznością. Pioruny waliły wielkimi, drgającymi pękami, jak równoległe słupy światła, cała dolina rozjaśniała się od ich oślepiającego blasku! Włóczykij tupał nogami z radości i zachwytu. Czekał na wiatr i deszcz, ale nie nadchodziły. Tylko wciąż grzmiało między szczytami gór, jakby się przetaczały tam i z powrotem ciężkie, ogromne kule; czuć było zapach spalenizny. Potem rozległ się ostatni, triumfalny, rozdzierający powietrze huk. I zrobiło się cicho, zupełnie cicho, nawet się już nie błyskało.

„Dziwna burza - myślał Włóczykij. - Jestem ciekaw, gdzie piorun uderzył?”

W tym momencie usłyszał straszliwy krzyk na dole przy zakolu rzeki. Przeszedł go zimny dreszcz. Piorun uderzył w Wuję Truja!

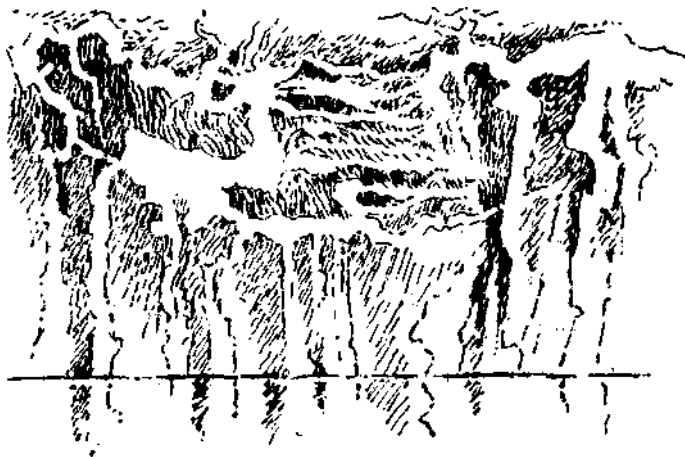
Kiedy dobiegł na miejsce, Wuj Truj podskakiwał wrzeszcząc:

- Ryba! Ryba! Złapałem rybę! - Trzymał w łapkach okonia i odchodził od zmysłów z radości. - Myślisz, że powinno się go ugotować czy usmażyć? - pytał. - Mamy tu wędzarnię? Czy jest ktoś, kto potrafi tak tę rybę przyrządzić, żeby jej nie popsuć?

- Filifionka - odparł Włóczykij i roześmiał się. - Właśnie ona najbardziej się do tego nadaje!

Filifionka wystawiła drżący pyszczek z najeżonymi wąsami. Wpuściła Włóczykija do kuchni i zamknęła za nim zasuwę.

- Zdaje mi się, że jakoś sobie poradziłam, już mi przeszło - szepnęła.



Włóczykij kiwnął głową. Wiedział, że nie chodzi jej o burzę.

- Wuj Truj złapał swoją pierwszą rybę - powiedział. - A teraz Paszczak mówi, że tylko Paszczaki umieją przyrządzać ryby. To prawda?

- Skądże! - krzyknęła Filifionka. - Tylko Filifionki umieją i Paszczak dobrze o tym wie!

- Pewnie ci się nie uda tak zrobić, żeby dla wszystkich starczyło - zauważył Włóczykij smutnym głosem.

- Tak sądzisz? - odparła Filifionka chwytając okonia. - Jeszcze mi się nie zdarzyło, żeby jakaś ryba miała nie wystarczyć na sześć osób!

Otworzyła drzwi od kuchni i powiedziała poważnie:

- A teraz wyjdź. Muszę być sama, jak gotuję!

- Aha! - zawołał Wuj Truj, który stał pod słuchując pod drzwiami. - Więc ona jednak lubi gotować!

Filifionka upuściła rybę na podłogę.

- Chyba dziś jest Dzień Ojca - wymamrotał Włóczykij.

- Jesteś pewien? - spytała Filifionka z niedowierzaniem. Spojrzała surowo na Wujka Truja i zapytała: - Masz dzieci?

- Na pewno nie - odparł. - Nie lubię krewnych! Mam gdzieś jakieś prawnuki, ale zapomniałem o nich.

Filifionka westchnęła.

- Dlaczego nikt z was nie może zachowywać się normalnie? - powiedziała. - Ja zwariuję w tym domu! Idźcie sobie obaj, bo będę teraz robić obiad.

Zamknęła drzwi na zasuwę i podniosła z ziemi okonia. Rozejrzała się po kuchni Mamy Muminka i o wszystkim zapomniała. Pamiętała tylko jedno: jak przyrządza się rybę we właściwy sposób.

Podczas krótkiej, gwałtownej burzy Mimbla cała się naelektryzowała. Iskry sypały się z jej włosów, każda najmniejsza odrobina puszku na rękach i nogach nastroszyła się i drżała. „Jestem teraz naładowana drapieżnością - myślała. - Mogłabym robić nie wiadomo co, ale nic nie robię. Jak to przyjemnie robić to, na co się ma ochotę”. Zwinęła się w kłębek na puchowej kołdrze, czując się jak mały, kulisty piorun, jak ognista kula.

Homek Toft stał w schowku na poddaszu i patrzył przez okno, jak pioruny padają na Dolinę Muminków. Był dumny i zafascynowany, i może trochę przerażony. „To moja burza - myślał. - Ja ją zrobiłem. Nareszcie potrafię opowiadać sobie tak, że to widać. Będę opowiadał ostatniemu Nummulitowi, małej Radiolariii, która należy do gatunku

Protozoa... Jestem tym, który potrafi wywoływać grzmoty i ciskać piorunami, jestem Homkiem, o którym nikt nic nie wie”.

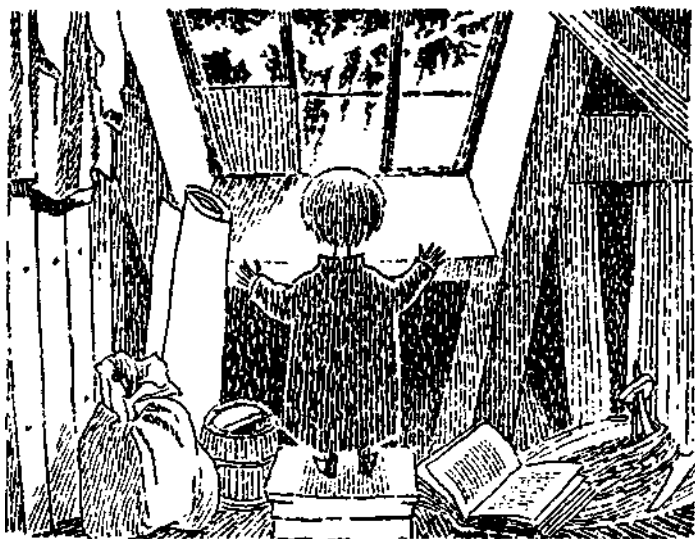
Wydawało mu się, że ukarał tą burzą Mamę Muminka; postanowił być bardzo cicho i nikomu nic nie opowiadać, tylko sobie i Nummulitowi. Nie miał nic wspólnego z elektrycznością innych, czuło się ją w powietrzu, ale jemu była całkiem obca, on miał swoją własną burzę, tylko dla siebie.

Chciał, żeby cała dolina była pusta, żeby było w niej miejsce na wielkie sny; potrzebuje się przestrzeni i ciszy, żeby móc coś kształtować z odpowiednią pieczołowitością.

Nietoperz pod sufitem dalej spał, nie przejął się burzą. Na dole w ogrodzie Paszczak wołał:

- Homku! Chodź mi pomóc!

Homek wyszedł z poddasza. Zszedł na dół do Paszczaka



schowany w swoim milczeniu i swej czuprynie i nikt nie wiedział, że trzyma w łapkach elektryczne burze.

- Ale grzmiało, co? - rzekł Paszczak. - Bałeś się?

- Nie - odparł Homek.





Ryba Filifionki była gotowa punktualnie o drugiej. Kryła się w wielkiej, dymiącej, przyrumienionej zapiekance. W całej kuchni pachniało jedzeniem, kojąco i przekonywająco. Kuchnia stała się rzeczywiście kuchnią, bezpiecznym miejscem, gdzie roztacza się opiekę nad wszystkim, tajemniczym sercem domu, jego najgłębszym wnętrzem, gdzie nic nie grozi. Żadne pływające stwory, żadne burze nie miały tutaj dostępu, tu panowała Filifionka. Strach i zawrót głowy ustąpiły, cofnęły się w najodleglejsze zakamarki jej mózgu i zostały zamknięte na zasuwę.

„Dzięki Bogu - myślała. - Nigdy co prawda nie będę już mogła sprzątać, ale będę mogła gotować. Jeszcze nie wszystko stracone”. Otworzyła drzwi i wyszła na werandę, wzięła błyszczący, mosiężny gong Mamy Muminka, trzymając go w łapce przypatrzyła się odbitej w nim swojej spokojnej, triumfującej twarzy, chwyciła drewniany młotek z okrągłą główką obciążoną irchą i uderzyła.

Bing, bong - zabrzmiało w całej dolinie. - Obiad!
Chodźcie jeść!

Wszyscy przybiegli, wołając:

- Co to? Co się stało?

Filifionka odpowiedziała spokojnie:

- Obiad gotowy.

Kuchenny stół nakryty był na sześć osób, z miejscem dla Wuja Truja w środku. Filifionka wiedziała, że Wuj Truj cały czas stał pod oknem i niepokoił się o swoją rybę. Teraz mógł wejść.

- Jedzenie - powiedziała Mimbla. - To dobrze. Ogórki nie pasują z sucharkami cynamonowymi.

- Odtąd - oznajmiła Filifionka - spiżarnia będzie zamknięta. Kuchnia należy do mnie. Siadajcie i jedzcie, póki gorące.

- Gdzie moja ryba? - zapytał Wuj Truj.

- W zapiekance - odparła Filifionka.

- Ale ja chcę ją zobaczyć! - zawołał żałośnie Wuj Truj. - Powinna być w całości, żebym mógł sam ją zjeść!

- A fe - oburzyła się Filifionka. - Wprawdzie dzisiaj jest Dzień Ojca, ale to jeszcze nie powód, żeby być samolubnym. - Pomyślała sobie, że nieraz trudno jest uszanować starość i zastosować się do wszystkich tradycji związanych z dostojnym trybem życia.

- Odmawiam obchodzenia Dnia Ojca - oświadczył Wuj Truj. - Dzień Ojca i Dzień Matki, Dzień Wszystkich Miłych Homków! Nie lubię krewnych! Czy nie moglibyśmy obchodzić Dnia Wszystkich Dużych Ryb?

- To przecież jest prawdziwa potrawa - odezwał się Paszczak z wyrzutem. - I czy nie siedzimy tu jak wielka, szczęśliwa rodzina? Zawsze mówiłem, że tylko jedna Filifionka umie przyrządzać ryby.

- Cha - cha - cha! - powiedziała Filifionka. Powtórzyła jeszcze raz: - Cha - cha - cha! - i spojrzała na Włóczykija.

Jedli w zupełnym milczeniu. Filifionka chodziła między kuchnią i stołem, podawała, nalewała sok i besztła, jeżeli ktoś się umazał. Przepelniało ją głębokie zadowolenie.

- A może wzniesiemy okrzyk na cześć Dnia Ojca? - spytał nagle Paszczak.

- Co to, to nie! - sprzeciwił się Wuj Truj.

- Wybacz - rzekł Paszczak. - Chciałem być miły. Ale czy my nie zapominamy, że Tatuś Muminka też jest ojcem?

Spojrzał poważnie na wszystkich i dodał:

- Mam pomysł. Jak by to było, gdybyśmy przygotowali, każdy z nas, jakąś niespodziankę dla Tatusia Muminka, zanim wróci do domu?

Nikt nie odpowiedział.

- Włóczykij mógłby naprawić pomost przy kabynie kąpielowej - ciągnął dalej Paszczak. - Mimbla mogłaby uprać nasze ubrania. A Filifionka mogłaby zrobić wielkie sprzątanie...

Filifionka upuściła talerz na ziemię i wykrzyknęła:

- Nie! Nigdy już nie będę sprzątała!

- Dlaczego? - spytała Mimbla. - Przecież kochasz sprzątać.

- Nie pamiętam - mruknęła Filifionka.

- Słusznie - rzekł Wuj Truj. - Trzeba zapomnieć o wszystkim, co nieprzyjemne. Pójdę teraz złowić następną rybę i zjem ją całą sam.

Wziął łaskę i wyszedł. Serwetka wisiała mu na szyi.

- Dziękuję za obiad - powiedział Toft kłaniając się.

A Włóczykij dodał:

- To była bardzo dobra zapiekanka.

- Uważasz? - odparła Filifionka uśmiechając się blado, bo myślami była gdzie indziej.

Po obiedzie Włóczykij zapalił fajkę i wybrał się nad morze. Szedł wolno i po raz pierwszy poczuł się samotny. Doszedł do kabiny kąpielowej, otworzył wąskie, skrzypiące drzwi. Pachniało pleśnią, wodorostami i minionym latem, smutny to był zapach. „Ach, wy domy” - pomyślał Włóczykij. Usiadł na małych, stromych schodkach schodzących do wody. Morze było spokojne, szare, żadnych wysp w polu widzenia. „Nie byłoby chyba tak trudno odnaleźć tych, co się schowali, i sprowadzić ich do domu. Wyspy są na mapie. Jolkę dałoby się uszczelnić. Ale po co - myślał Włóczykij. - Lepiej zostawmy ich. Oni pewnie też lubią spokój”.

Przestał szukać swoich pięciu taktów, niech przyjdą, kiedy im się spodoba. Były przecież i inne piosenki. „Może sobie trochę pogram dziś wieczór” - pomyślał.

Była już późna jesień i wieczory zrobiły się bardzo ciemne. Filifionka nigdy nie lubiła nocy. Nie ma nic gorszego, jak patrzeć w całkowitą ciemność, to tak, jakby się szło prosto w nieskończoność nie mając nikogo przy sobie. Dlatego zawsze błyskawicznie szybko wystawiała kubek ze śmieciami na kuchenne schody i szczerlnie zamykała drzwi.

Ale dziś wieczór stała na schodach wsłuchana w ciemność. Włóczykij grał w swoim namiocie piękną,

bliżej nieokreśloną melodię. Filifionka była muzykalna, choć ani ona sama, ani nikt inny o tym nie wiedział. Słuchała z zapartym tchem, zapominając o straszących ją okropnościach, jej wysoka, chuda sylwetka odcinała się na tle oświetlonej kuchni, była łatwą zdobyczą dla wszystkich nocnych niebezpieczeństw. Ale nic się nie stało. Kiedy piosenka dobiegła końca, Filifionka głęboko westchnęła, postawiła kubek i weszła z powrotem do domu. Śmieci wyrzucał Homek.

A na poddaszu Homek Toft opowiadał sobie: „Stwór skulił się koło dużej sadzawki za poletkiem tytoniowym Tatusia Muminka i czekał. Czekał, aż stanie się tak duży i silny, że nigdy już nie będzie groziło mu zniknięcie. Na razie nie obchodziło go nic innego, jak tylko jego własna osoba. Koniec rozdziału”.





Było rzeczą oczywistą, że nikt nie spał w pokoju Mamy ani Tatusia Muminka. Jej pokój był od wschodniej strony, bo lubiła poranki, a jego od zachodu, bo widok wieczornego nieba wprawiał go w stan rozmarzenia.

Któregoś dnia o zmierzchu Paszczak przekradł się do pokoju Tatusia i z szacunkiem stanął w progu. Ten mały pokój z pochyłym sufitem nadawał się dobrze do tego, żeby w nim przebywać w samotności. Ale czasem bywało się spychanym do niego przez tych, którzy chcieli, żeby im nie zawadzać. Na niebieskich ścianach Tatuś pozawieszał gałęzie o cudacznych kształtach, niektóre z nich miały oczy z guzików. Wisiął kalendarz ścienny z obrazkiem przedstawiającym tonący statek, a nad łóżkiem kawałek deski z napisem „Haig's Whisky”. Na komodzie leżało kilka dziwnych kamieni, bryłka złota i mnóstwo drobnych rupieci, które się zostawia w ostatniej chwili przed wyjazdem. Pod lustrem stał model latarni morskiej ze spiczastym dachem, z ozdobnymi, drewnianymi drzwiczkami i balustradą z mosiężnych gwoździ przed pomieszczeniem z lampą. Była nawet drabinka, którą Tatuś zrobił z miedzianego drutu. W każde okno wkleił staniol.

Paszczak przyglądał się temu wszystkiemu starając się przypomnieć sobie Tatusia. Próbował przypomnieć sobie, co robili i o czym rozmawiali, ale nie mógł. Podszedł więc do okna i popatrzył na ogród. Muszle koło obumarłych rabat lśniły w półmroku, niebo na zachodzie było żółte, duży klon odcinał się kolorem sadzy na tle zachodu. Paszczak oglądał dokładnie to samo, co Tatuś podczas jesiennych zmierzchów.

I nagle wiedział już, co zrobi: wybuduje dom dla Tatusia na dużym klonie! Aż się roześmiał z radości. Oczywiście, dom na drzewie! Wysoko nad ziemią, wśród mocnych, czarnych konarów, daleko od rodziny, niezależny, pachnący przygodą, ze sztormówką na dachu. Siedzieliby tam obaj i słuchali, jak południowo - zachodni wiatr uderza w ściany, i rozmawialiby z sobą, nareszcie by rozmawiali. Paszczak wybiegł do sieni wołając:

- Homku!

Homek wyszedł ze schowka na poddaszu.

- Znowu czytałeś! - zauważył Paszczak. - To niebezpiecznie tak dużo czytać. Posłuchaj no. Lubisz wyciągać gwoździe?

- Chyba nie - odparł Homek.

- Jeżeli cokolwiek ma być zrobione - wyjaśniał mu Paszczak - to zawsze jest tak, że jeden buduje, a drugi znosi deski. Albo jeden wbija nowe gwoździe, a drugi wyciąga stare. Rozumiesz?

Homek nic, tylko patrzył. Wiedział, że on jest tym drugim.

Poszli do drewni i Toft zaczął wyciągać gwoździe. Stare deski i kawałki drewna, pozbierane przez rodzinę Muminków na plaży, były twarde i spoiste, zardzewiałe

gwoździe siedziały w nich mocno. Paszczak poszedł pod klon, podniósł pyszczek i zamyślił się.

Homek podważał gwoździe i wyciągał. Niebo na zachodzie zrobiło się żółte jak ogień i zaraz potem słońce zgasło. Toft opowiadał sobie o Stworze, opowiadał coraz lepiej, już nie w słowach, tylko obrazami. Słowa są niebezpieczne, a Stwór doszedł właśnie do bardzo ważnego momentu w swoim rozwoju, następowała w nim zmiana. Nie krył się już, tylko patrzył i słuchał, i sunął skrajem lasu jak ciemna smuga, bardzo ostrożnie, ale i bez strachu...

- Lubisz wyciągać gwoździe? - zapytała Mimbla. Siedziała za nim na pniu do rąbania drzewa.

- Co? - spytał Homek.

- Nie lubisz wyciągać gwoździ, a jednak to robisz - rzekła Mimbla. - Ciekawa jestem dlaczego. Toft spojrzał na nią milcząco. Mimbla pachniała miętówkami.

- Paszczaka też nie lubisz - mówiła dalej.

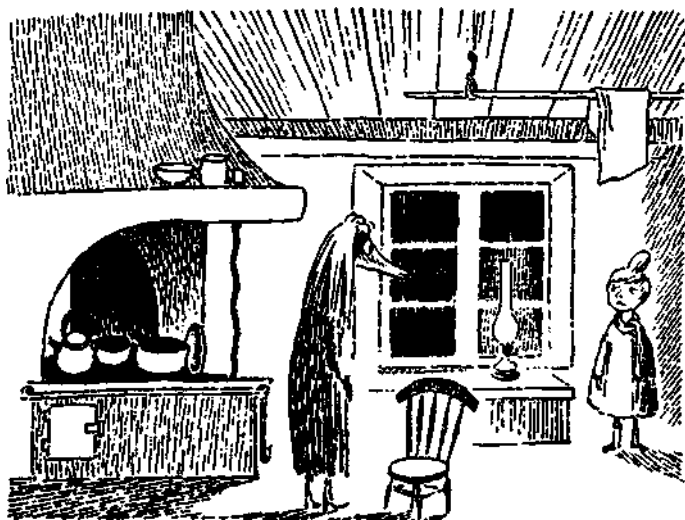
- Nigdy się nad tym nie zastanawiałem - mruknął Toft odpierając natarcie. I natychmiast zaczął się zastanawiać, czy lubi Paszczaka, czy nie.

Mimbla zeskoczyła z pnia i poszła sobie. Zmierzch szybko gęstniał, z rzeki podnosiła się szara mgła, było bardzo zimno.

- Otwórz - zawołała Mimbla pod drzwiami. - Chcę się zagrzać w twojej kuchni.

Po raz pierwszy ktoś powiedział „w twojej kuchni” i Filifionka natychmiast otworzyła.

- Możesz usiąść na moim łóżku - powiedziała. - Tylko uważaj, żeby nie pognieść narzuty.



Mimbla zwinęła się w kłębek na łóżku, które stało teraz wepchnięte między piec kuchenny i zlew. Filifionka przygotowywała budyń na jutro. Wpadła jej w ręce torba ze starymi skórkami chleba, które rodzina Muminków zbierała dla ptaków. W kuchni było ciepło, ogień buzował pod fajerkami rzucając rozedrgane błyski na sufit.

- Teraz jest prawie tak, jak dawniej - powiedziała Mimbla sama do siebie.

- Masz na myśli, że tak, jak za czasów Mamy Muminka - sprecyzowała Filifionka nieostrożnie.

- Nie, wcale nie - odparła Mimbla. - Chodzi mi tylko o piec kuchenny.

Filifionka, zajęta budyniem, kręciła się po kuchni stukając obcasami. Myśli jej zaczęły być nagle niespokojne, poczuła niepewność.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - spytała.

- Mama Muminka lubiła gwizdać podczas gotowania - powiedziała Mimbla. - Wszystko było tak trochę byle jak... Nie wiem, ale było inaczej. Czasem brali z sobą jedzenie i gdzieś jechali, a czasem wcale nie jedli... - Przykryła głowę ramieniem, żeby zasnąć.

- Zdaje mi się, że znam Mamę Muminka znacznie lepiej niż ty - rzekła Filifionka. Nasmarowała formę oliwą, wlała resztki wczorajszej zupy i ukradkiem dołożyła kilka ugotowanych ziemniaków, które nie były już takie, jakie powinny być. Ogarniało ją coraz większe podniecenie, aż wreszcie podbiegła do śpiącej Mimbli i zawołała:

- Nie spałabyś tak, gdybyś wiedziała to, co ja wiem!

Mimbla obudziła się i leżąc bez ruchu patrzyła na Filifionkę.

- Nie wiesz! - szeptała Filifionka głosem pełnym napięcia.

- Nie wiesz, co zostało wypuszczone na swobodę w tej dolinie! Straszne rzeczy wydostały się z szafy na ubrania i pełno ich wszędzie!

Mimbla usiadła i zapytała:

- To dlatego okręciłaś sobie buty lepem na muchy?

Ziewnęła drapiąc się w nos, a potem, już w drzwiach, odwróciła się i powiedziała:

- Nie przejmuj się, nie ma tu nic gorszego niż my sami.

- Gniewa się? - zapytał Wuj Truj, który był w salonie.

- Boi się - odparła Mimbla wchodząc na schody. - Boi się czegoś, co siedzi w szafie.

Na dworze było już całkiem ciemno. Przywykli kłaść się,

gdy zapadał zmierzch, spali bardzo długo, coraz dłużej, im dni robiły się krótsze. Homek Toft przemknął się jak cień i mruknął „Dobranoc”, Paszczak odwrócił pyszczek do ściany. Postanowił zbudować kopułę nad domkiem na drzewie dla Tatusia. Można ją będzie pomalować na zielono i może dać złote gwiazdy. W komodzie u Mamy Muminka bywała złota farba, a w drewni widział butelkę z lakierem w kolorze brązu.

Kiedy wszyscy już pozasypiali, Wuj Truj wszedł po schodach ze świecą w rękę. Stał przed dużą szafą na ubrania i szepnął:



- Jesteś tam? Wiem, że jesteś.

Bardzo powoli otworzył szafę, drzwi z lustrem odchyliły się.

Płomyk świecy ledwo się tlił i w holu było ciemno. Mimo to Wuj Truj bardzo wyraźnie zobaczył przed sobą przodka. Miał laskę i kapelusz i wyglądał zupełnie nieprawdopodobnie. Ubrany był w za długi szlafrok i kamasze. Żadnych okularów. Wuj Truj zrobił krok naprzód i przodek zrobił to samo.

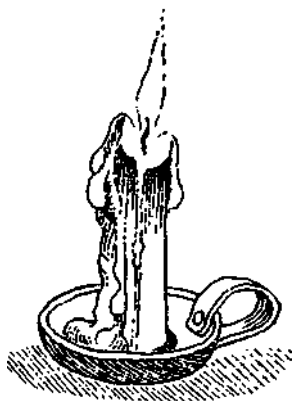
- Ach, więc nie mieszkasz już w piecu kaflowym - powiedział Wuj Truj. - Ile masz lat? Nie nosisz nigdy okularów?

Był bardzo podniecony i uderzał laską w podłogę dla podkreślenia tego, co mówi. Przodek robił to samo, ale nie odpowiadał.'

- Musi być głuchy - powiedział Wuj Truj sam do siebie. - Stary klekot, głuchy jak pień. W każdym razie przyjemnie spotkać kogoś, kto wie, co to za uczucie być starym.

Długo stał patrząc na przodka. W końcu uchylił kapelusza i skłonił się. Przodek zrobił to samo. Rozstali się z poczuciem wzajemnego szacunku.





Dni zrobiły się krótsze i zimniejsze. Rzadko padało. Słońce ukazywało się nad doliną tylko na chwilę w środku dnia i wtedy ogołocone z liści drzewa rzucały cień na ziemię, lecz rano i wieczorem wszystko tonęło w półmroku, a potem zapadała ciemność. Nigdy nie widzieli zachodzącego słońca, tylko żółte niebo na zachodzie i ostry zarys gór dookoła; żyli jakby na dnie studni.

Paszczak i Toft budowali domek na drzewie dla Tatusia, Wuj Truj łowił mniej więcej dwie ryby dziennie, a Filifionka zaczęła gwizdać.

Tej jesieni nie było sztormów. Wielka burza nie wróciła, tylko przetaczała się gdzieś daleko z lekkim pomrukiem, który jeszcze pogłębiał ciszę w dolinie. Nikt poza Homkiem nie wiedział, że ile razy zagrzmiało, Stwór rósł coraz bardziej i pozbywał się swej nieśmiałości. Był teraz dość duży i bardzo się zmienił, otwierał paszczę i pokazywał zęby. Któregoś wieczoru, w żółtym świetle zachodzącego słońca, nachylił się nad wodą i po raz pierwszy zobaczył własne, białe zęby. Rozwarł szeroko szczęki, potem

kłapał nimi, zazgrzytał zębami - tylko troszeczkę - i pomyślał: „Nikogo nie potrzebuję, mam zęby”.

W końcu doszło do tego, że HomekToft nie miał już odwagi powiększać Stwora. Wyłączył wszystkie obrazy. Tymczasem grzmoty dalej huczały nad morzem i Homek czuł, że teraz Stwór rośnie na własną rękę.

Toft przez tyle czasu coś sobie wieczorem opowiadał, że trudno mu było bez tego zasnąć. Czytał więc i czytał swoją książkę, ale coraz mniej rozumiał. Mówiono w niej teraz tylko o tym, jak Stwór wygląda wewnątrz, i to było bardzo nudne.

Któregoś wieczoru Filifionka zastukała do drzwi na poddaszu, otworzyła je ostrożnie i powiedziała:

- Hej, mały!

Homek podniósł wzrok znad książki i czekał.

Duża Filifionka usiadła na podłodze przy nim, przekrzywiła głowę i zapytała:

- Co takiego czytasz?

- Książkę - odparł Toft.

Filifionka nabrała głęboko powietrza i zagadnęła:

- Nielatwo być małym i nie mieć mamy, co?

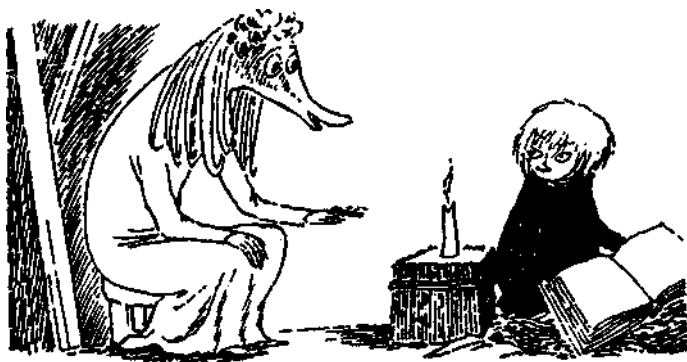
Homek skrył się w czuprynę. Wstydził się Filifionki i nie odpowiedział.

Filifionka wyciągnęła łapkę, ale zaraz ją cofnęła. Powiedziała szczerze:

- Wczoraj wieczorem pomyślałam nagle o tobie, jak ci tam... zapomniałam.

- Toft - odparł Homek.

- Toft - powtórzyła Filifionka. - Ładne imię. - Szukała rozpaczliwie słów, żałując, że nie wie czegoś więcej o dzieciach i że ich nie lubi. Wreszcie powiedziała:



- Nie marzniesz, mam nadzieję? Dobrze ci tu?

- Tak, dziękuję - odparł Homek Toft.

Filifionka rozłożyła łapki i próbując spojrzeć mu prosto w oczy, spytała błagalnie:

- Jesteś całkiem pewien?

Homek skulił się trochę, bo Filifionka pachniała strachem. Prędko powiedział:

- Może koc by się przydał.

Natychmiast wstała.

- Zaraz go dostaniesz! - zawołała. - Zaczekaj chwilkę, to nie potrwa nawet minuty...

Usłyszał, jak zbiega ze schodów i znów wraca. Niosła koc.

- Bardzo dziękuję - powiedział Homek kłaniając się. - Bardzo dobry koc.

Filifionka uśmiechnęła się.

- Nie ma o czym mówić - odparła. - Mama Muminka zrobiłaby to samo.

Upuściła koc na podłogę, zawahała się przez moment i poszła.

Homek złożył go, jak mógł najporządniej, i schował

w sam kąt na półce pod sufitem, wpełzł z powrotem do sieci i spróbował dalej czytać. Ale nie mógł. Rozumiał mniej niż kiedykolwiek przedtem, czytał po kilka razy to samo zdanie i nie wiedział, o co chodzi. W końcu zamknął książkę, zdmuchnął świecę i wyszedł.

Trudno było znaleźć szklaną kulę. Pomylił drogę, błędził po omacku między pniami drzew, tak jakby ogród był obcym miejscem. Wreszcie dojrzał ją, ale niebieskie światło już nie świeciło, kulę wypełniała mgła, gęsta, ciemna mgła, niewiele jaśniejsza od samej nocy. Szybko przepływała we wnętrzu magicznego szkła, znikwała w nim wchłaniana do środka, kołowała wciąż i wciąż, narastała w głębokich, ciemniejących wirach.

Homek poszedł dalej wzdłuż rzeki i minął poletko tytoniowe Tatusia Muminka. Wszedł między świerki koło dużej sadzawki, dokoła szeleściły suche trawy, buciki grzęzły w bagnistej ziemi.

- Jesteś tam? - zawołał cicho. - Malutki Nummulicie, jak się miewasz?

Stwór warknął na niego z ciemności.

Homek, przerażony, zawrócił i zaczął biec na oślep, potykał się i przewracał, podnosił się z trudem i znowu biegł, aż wreszcie dotarł do namiotu. Namiot świecił jak spokojna, zielona latarnia pośród nocy. Wewnątrz siedział Włóczykij i cichutko grał.

- To ja - szepnął Homek. Wszedł do namiotu. Nigdy przedtem w nim nie był. Pachniało przyjemnie tytoniem fajkowym i ziemią. Koło spiwora stała na pudełku po cukrze paląca się świeca, na ziemi pełno było wiórów.

- To będzie kopystka - powiedział Włóczykij. -
Przestraszyłeś się czegoś?

- Nie ma już rodziny - odparł Toft. - Oszukali mnie.

- Nie wierzę - powiedział Włóczykij. - Może tylko chcą,
żeby ich przez jakiś czas zostawiono w spokoju. - Wyjął
termos i nalał herbaty do dwóch kubków. - Tu masz cukier -
powiedział. - Na pewno kiedyś wrócą.

- Kiedyś! - wybuchnął Homek. - Ona musi teraz przyjść,
tylko na niej jednej mi zależy!

Włóczykij wzruszył ramionami. Zrobił dwie kanapki i
powiedział:

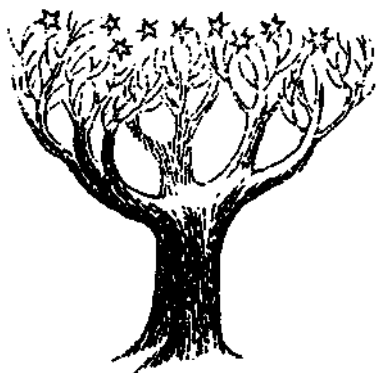
- Ciekaw jestem, na czym Mamie Muminka zależy...

Homek już się więcej nie odezwał. Kiedy odchodził,
Włóczykij zawołał:

- Uważaj, żebyś nie pozwalał rzeczom zanadto rosnąć!

I znów zabrzmiały dźwięki harmonijki. Filifionka stała na
schodach do kuchni, obok wiadra ze śmieciami, i słuchała.
Homek zboczył, żeby ją wyminąć, i wszedł chyłkiem do
domu.





Na drugi dzień Włóczykij został zaproszony na niedzielny obiad. Była już druga, potem zrobiło się piętnaście po drugiej, a Filifionka wciąż zwlekała z wezwaniem ich do stołu. O wpół do trzeciej Włóczykij wetknął nowe piórko do kapelusza i poszedł dowiedzieć się, co się dzieje. Stół kuchenny stał koło schodów, Paszczak z Homkiem wynosili krzesła.

- To jest piknik - wyjaśnił Wuj Truj ponurym głosem. - Powiedziała, że musimy dziś robić to, na co mamy ochotę.

Filifionka wyszła niosąc jedzenie. Była to zupa z płatków owsianych. Lekki, ale zimny wiatr ciągnął doliną i na zupie powstał kożuch.

- Nabieraj, śmiało - powiedziała Filifionka głaszcząc Homka po głowie.

- Dlaczego musimy jeść na dworze? - skarżył się Wuj Truj odsuwając kożuch na brzeg talerza.

- Kożuch też trzeba zjeść - zwróciła mu uwagę Filifionka.

- Dlaczego nie siedzimy w kuchni? - powtórzył Wuj Truj.

- Czasami robi się to, co akurat przyjdzie na myśl - odpowiedziała Filifionka niecierpliwie. - Bierze się z sobą jedzenie albo na przykład nie je się wcale! Wtedy jest zabawnie!

Stół stał krzywo na nierównej ziemi, Paszczak trzymał talerz obiema łapkami.

- Niepokoi mnie jedna sprawa - powiedział. - Kopuła nie wychodzi tak, jak trzeba. Homek pociął deski według moich wskazówek, ale nic się nie zgadza. A jak deskę jeszcze raz przyciąć, to się robi za krótka i nie chce się trzymać. Rozumiecie?

- A gdybyś zrobił zwyczajny dach - zaproponował Włóczykij.

- Też się nie utrzyma - odparł Paszczak.

- Nie cierpię kozuchów na owsiance - oświadczył Wuj Truj.

- Jest oczywiście jeszcze inna możliwość - mówił dalej Paszczak. - W ogóle bez dachu! Tak sobie właśnie siedząc tu myślałem, że może Tatuś Muminka wolałby patrzeć na



gwiazdy, co? Jak uważacie, odpowiadałoby mu to?

Wtem Toft zawołał:

- To ty tak uważasz! Skąd wiesz, co by Tatuś wołał?

Wszyscy przestali jeść i spojrzeli na niego wielkimi oczami. Toft schwyił się obrusa i krzyknął:

- Ty i tak robisz tylko to, co tobie odpowiada! Dlaczego robisz takie duże rzeczy?!

- Patrzcie no - zdziwiła się Mimbla. - Homek pokazuje zęby.

Toft wstał tak gwałtownie, że aż krzesło się przewróciło.

A potem schował się pod stół.

- I to Homek, który jest taki grzeczny - zauważyła Filifionka oschle. - W dodatku na pikniku.

- Słuchaj, Filifionko - powiedziała Mimbla poważnie. - Nie sądzę, żeby można było stać się Mamą Muminka tylko dlatego, że się wyniosło stół na dwór.

Filifionka wstała i krzyknęła:

- Wciąż tylko Mama Muminka, Mama Muminka! Czy ona jest taka nadzwyczajna? Niechlujna rodzina, wszyscy razem, nawet nie sprzątną własnego domu, chociaż mogą sprzątać, nawet nie zostawią najkrótszego bodaj listu, chociaż wiedzą, że my... chociaż wiedzą... - Zamilkła bezradnie.

- List! - powiedział Wuj Truj. - Ja gdzieś znalazłem jakiś list i schowałem go.

- Gdzie? Gdzie go schowałeś? - spytał Włóczykij.

Teraz wszyscy wstali od stołu.

- Gdzieś - mruknął Wuj Truj. - Pójdę chyba łowić ryby.

Nie podoba mi się ten piknik. Wcale nie jest zabawnie.

- Ale zastanów się wpierrw - prosił Paszczak. - Postaraj się przypomnieć sobie. Pomożemy ci. Gdzie go widziałeś ostatni raz, co? Gdzie byś go schował, gdybyś go znalazł właśnie teraz?

- Ja jestem na wakacjach - odparł Wuj Truj ponuro. - Mogę zapominać, ile tylko chcę. To wspaniałe uczucie. Zamierzam o wszystkim zapomnieć poza kilkoma drobnymi, przyjemnymi rzeczami, które są ważne. A teraz idę porozmawiać z moim przyjacielem przodkiem. On wie. W y tylko myślicie, ale m y wiemy.

Przodek wyglądał tak jak zawsze, z tą tylko różnicą, że miał serwetkę na szyi.

- Hej! - powitał go Wuj Truj. - Jestem naprawdę zły. Wiesz, co mi zrobili?

Poczekał chwilę. Przodek kiwał wolno głową i tupał nogami.

- Masz rację - powiedział Wuj Truj. - Popsuli mi wakacje. Chodzę sobie dumny, że udało mi się o tylu rzeczach zapomnieć, a tu nagle mam sobie znów przypominać! Brzuch mnie boli od tego. Jestem taki zły, że mnie brzuch rozboleł.

Wuj Truj po raz pierwszy przypomniał sobie o swoich lekarstwach. Nie pamiętał jednak, gdzie są.

- Były w koszyku - powtórzył Paszczak. - Mówił, że trzyma je w koszyku. Ale koszyka nie ma w salonie.

- Może zapomniał go gdzieś w ogrodzie - powiedziała Mimbla.

Filifionka zawołała:

- On twierdzi, że to nasza wina! Jakim cudem to ma być moja wina? Ja przecież zrobiłam dla niego gorący sok z czarnych porzeczek, który mu smakował.

Spojrzała z ukosa na Mimblę i dodała:

- Wiem, że Mama Muminka robi gorący sok z czarnej porzeczki, jak ktoś jest chory, ale ja zrobiłam go mimo to.

- Proszę o spokój - oznajmił Paszczak. - Powiem wam, co macie robić. Chodzi mianowicie o butelki z lekarstwami i koniak, o list i osiem par okularów. Podzielimy dolinę i dom na części, a potem każdy...

- Tak, tak, tak - zachnęła się Filifionka. Wsadziła pyszczek do salonu i zapytała niespokojnie: - Jak samopoczucie?

- Złe - odparł Wuj Truj. - Tak się właśnie dzieje, kiedy na owsiance jest kożuch, a mnie się nie pozwala zapominać w spokoju. - Leżał w salonie na kanapie pod ogromną ilością koców, z kapeluszem na głowie.

- Ile właściwie Wuj Truj ma lat? - spytała ostrożnie Filifionka.

- Wcale nie zamierzam umrzeć - odpowiedział jej wesoło.

- A ty sama ile masz lat?

Filifionka zniknęła. W całym domu otwierano i zamykano drzwi, ogród rozbrzmiewał nawoływaniem i szybkim tupotem. Nikt nie miał w głowie nic innego, jak tylko Wuję Truja. A on myślał sobie z pewnym zadowoleniem: „Ten koszyk może być wszędzie”. Brzuch przestał go boleć.

Mimbla weszła do salonu i usiadła na krawędzi jego poślania.



- Posłuchaj, Wuju Truju - powiedziała. - Jesteś tak samo zdrowy jak ja i wiesz o tym.

- Możliwe - odparł - Ale nie wstanę, dopóki nie urządzicie mi przyjęcia! Takie całkiem małe przyjęcie dla starszych osób, które wyzdrowiały!

- Albo duże dla Mimbli, które chcą tańczyć... - zamyśliła się Mimbla.

- Nic podobnego! - sprzeciwił się Wuj Truj. - Kolosalne przyjęcie dla mnie i dla przodka! On od stu lat nie miał okazji się bawić, a teraz siedzi w szafie i jest mu przykro.

- Jeśli w to wierzysz, to uwierzyłbyś we wszystko - powiedziała Mimbla szczerząc zęby w uśmiechu.

- Znaleźliśmy koszyk! - doszedł ich z dworu wrzask Paszczaka.

Ktoś gwałtownie otworzył drzwi, w salonie zrobił się tłok i zamęt.

- Był pod werandą! - wołał Paszczak. - A koniak stał po drugiej stronie rzeki!

- Potoku! - poprawił go Wuj Truj. - Najpierw zażyję koniak.

Filifionka nałała mu kropelkę i wszyscy uważnie się przypatrywali, kiedy ją wypijał.

- Czy Wuj Truj chce po trochu każdego lekarstwa, czy tylko jedno? - spytała Filifionka.

- Żadnego już nie chcę - westchnął opadając na poduszki.

- Nigdy więcej nie wspominajcie mi o rzeczach, o których nie lubię słyszeć. A tak naprawdę zdrowy będę dopiero, jak mi urządzicie przyjęcie...

- Zdejmij mu buty - powiedział Paszczak. - Toft, zdejmij mu buty. To pierwsza rzecz, którą trzeba zrobić, jak kogoś boli brzuch.

Homek rozsznurował buty Wuja Truja i ściągnął je. Z jednego buta wyjął pomięty świstek białego papieru.

- List! - wykrzyknął Włóczykij. Ostrożnie wygładził papier i przeczytał:

Bardzo proszę nie rozpalać w piecu, bo mieszka w nim przodek.

Mama Muminka





Filifionka nic już nie mówiła o tym, co mieszkało w szafie na ubrania, starała się wypełnić sobie głowę drobnymi, małosłownymi myślami, do których była przyzwyczajona. Lecz nocami słyszała słabe, ledwo dające się rozróżnić odgłosy, jakby jakieś pełzanie pod tapetą, czasem znowu przyspieszoną bieganinę wzdłuż listew podłogowych, a raz w ścianie nad jej wezglowiem zaczął chrobotać kołatek*.

Najlepsze chwile w całym dniu to były te, kiedy uderzała w gong albo wystawiała wieczorem kubek ze śmieciami na schody. Włóczyki grał prawie każdego wieczoru i Filifionka nauczyła się jego melodii. Gwizdała jednak tylko wtedy, gdy była pewna, że nikt nie słyszy.

Któregoś wieczoru siedziała na brzegu łóżka i starała się znaleźć jakiś powód, żeby się nie kłaść.

- Śpisz? - spytała Mimbla pod drzwiami. Weszła nie czekając na odpowiedź i oświadczyła: - Potrzebuję deszczówki do umycia głowy.

- Ach, tak - powiedziała Filifionka. - Myślałam, że woda z rzeki jest równie dobra. Weź ze środkowego wiadra. To

* Kołatek - chrząszcz, którego larwy żyją w suchym drewnie, drążąc korytarze.

woda źródłana. Będiesz mogła wypłukać włosy w deszczówce, jeżeli koniecznie chcesz. Tylko nie nalej na podłogę.

- Wygląda, że znowu stałaś się sobą - stwierdziła Mimbla stawiając wodę na ogniu. - I nawet jesteś miłsza w ten sposób. Będę miała rozpuszczone włosy na przyjęciu.

- Na jakim przyjęciu? - spytała ostro Filifionka.

- Dla Wuja Truja - odparła Mimbla. - Nie wiesz, że urządzamy jutro przyjęcie w kuchni?

- Nie może być! A to ci nowina! - wykrzyknęła Filifionka.

- Dobrze wiedzieć. To właśnie to, co powinno się robić, jak wszyscy są zamknięci razem, wyrzuceni na brzeg, przewiani wiatrem, przemoczeni deszczem. Urządza się wtedy przyjęcie, w czasie którego gaśnie światło, a kiedy znowu się zapala, w Domu jest o Jedną Osobę mniej...

Mimbla przypatrywała się Filifionce z zainteresowaniem.

- Jesteś czasem zadziwiająca - stwierdziła. - Niezłe to było. A potem wszyscy po kolei znikają i w końcu zostaje tylko kot, który siedzi i myje się na ich grobie!

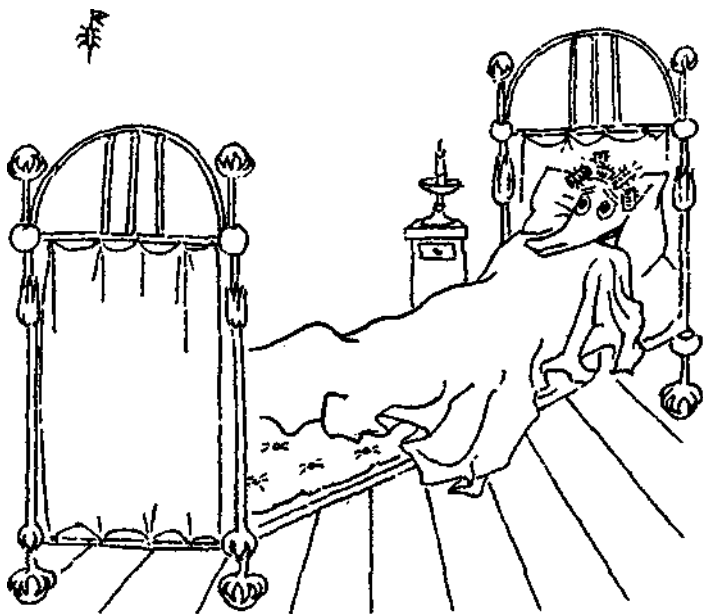
Filifionka wzdrygnęła się.

- Woda już się chyba zagrzała - rzekła. - Tu nie ma kota.

- Nietrudno go mieć - roześmiała się Mimbla. - Wystarczy go sobie wyobrazić - i jest kot!

Zdjęła garnek z ognia i otworzyła drzwi łokciem.

- Dobranoc - rzekła. - Nie zapomnij ułożyć włosów. Paszczak powiedział, że masz przyozdobić kuchnię, bo jesteś najbardziej artystyczna. - I Mimbla poszła sobie, zgrabnie zamykając drzwi nogą.



Serce Filifionki gwałtownie zabiło. Była artystyczna, Paszczak powiedział, że była artystyczna! Co za cudowne słowo! Powtórzyła je sobie szeptem kilka razy.

W otaczającej ją nocnej ciszy wzięła lampę kuchenną i poszła szukać ozdób na pawlaczu nad szafą Mamy Muminka. Pudło z lampionami i wstążkami stało tam, gdzie zawsze, na samej górze na prawo; były strasznie splątane i pokapane stearyną. Leżały tam także zużyte papiery do pakowania prezentów urodzinowych, we wzorek z róż, z zachowanymi jeszcze napisami: „Dla mojego kochanego Tatusia”, „Dużo szczęścia w dniu urodzin, drogi Paszczaku”, „Całusy, uściski przesyłamy Ci, bo naszą jesteś małą Mi”, „Z najlepszymi życzeniami dla Gapsy”. Gapsę mniej lubili niż tamtych.

Znalazła też papierowe girlandy. Zniosła to wszystko do kuchni i rozłożyła na szafce kolo zlewu. Zmoczyła włosy i zakręciła lokówki, cały czas cicho gwizdząc - całkiem czysto i znacznie lepiej, niżby się tego sama po sobie mogła spodziewać.

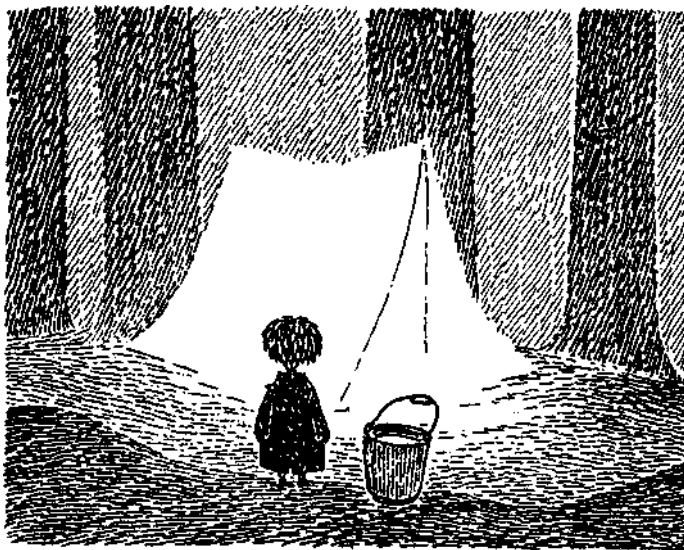
Homek Toft słyszał, że mówili o przyjęciu, choć Paszczak nazywał to „wieczorem w domu”. Wiedział, że każdy musi przyczynić się do uświetnienia programu rozrywkowego, i podejrzewał, że podczas „wieczoru w domu” trzeba być rozmownym i wesołym. A on nie czuł się wesoły. Chciał być sam i spróbować dojść, dlaczego tak się straszliwie rozzłościł w czasie tego niedzielnego obiadu. Przerażało go, że odkrywa w sobie całkiem innego Homka. Takiego, którego nie znał, który mógł wrócić i skompromitować go przed nimi wszystkimi. Po owej niedzieli Paszczak budował swój dom na drzewie całkiem sam. Nie krzyczał już na Homka. Obaj byli zażenowani.

„Jak ja mogłem tak się na niego rozzłościć - myślał ponuro Toft. - Nie było o co i nigdy się przedtem nie złościłem. Naszło mnie to jak coś, co wzbiera i przelewa się, to było jak wodospad! A ja jestem przecież taki grzeczny”.

Grzeczny Homek poszedł do rzeki po wodę. Nappełnił wiadro i postawił je przed namiotem. W namiocie siedział Włóczykij i pewnie strugał łyżkę z drewna albo może nic nie robił, milczał tylko i wszystko wiedział lepiej od innych. Cokolwiek mówił, brzmiało dobrze i słusznie, ale potem, kiedy się znów było samemu, nie rozumiało się, co miał na myśli, a nieśmiałość nie pozwalała wrócić i zapytać.

Bywało też, że wcale nie odpowiadał, mówił o herbacie i o pogodzie, przygryzał fajkę i wydawał ten swój denerwujący, nieokreślony pomruk, i wtedy miało się uczucie, że się powiedziało coś całkiem niemożliwego.

„Zastanawia mnie, dlaczego go podziwiają - myślał Homek poważnie. - Oczywiście, bardzo to wytworne, że pali fajkę. Może podziwiają go dlatego, że idzie sobie i zamyka się. Ale ja też tak robię i nikomu to nie imponuje. Rzecz chyba w tym, że jestem mały”. Homek szedł wolno przez ogród, w stronę dużej sadzawki, i myślał: „Nie chcę mieć przyjaciół, którzy są mili, choć wcale mnie specjalnie nie lubią, ani też nikogo, kto jest miły tylko dlatego, żeby nie być niemiłym. I nikogo, kto się boi. Chcę mieć kogoś, kto by się nigdy nie bał i naprawdę mnie lubił, chcę mieć mamę!”



Teraz jesienią duża sadzawka była ponurym miejscem, miejscem do schowania się i czekania. Lecz Homek czuł, że Stwora tam nie ma. Poszedł sobie. Odszedł zgrzytając nowymi zębami. I nie kto inny, tylko on, Homek Toft, dał mu te zęby.

Wuj Truj drzemał na moście. Obudził się słysząc przechodzącego Tofta i zawołał:

- Będzie przyjęcie! Wielkie przyjęcie na moją cześć!

Toft spróbował przemknąć się dalej, ale Wuj Truj przytrzymał go zakrzywionym końcem laski.

- Posłuchaj mnie - rzekł. - Powiedziałem Paszczakowi, że przodek jest moim najlepszym przyjacielem i przez sto lat nie był na żadnym przyjęciu, i że musi zostać zaproszony! Jako honorowy gość. „Tak, tak, tak” - odparł Paszczak. A ja wam wszystkim mówię, że nie przyjdę na przyjęcie bez przodka. Rozumiesz?

- Tak - mruknął Homek. - Rozumiem. - Myślał jednak wyłącznie o Stworze.

Mimbla siedziała na werandzie i czesała się w bladym świetle słonecznym.

- Hej, Homeczku - powiedziała. - Masz już swój program gotowy?

- Ja nic nie potrafię - odparł Homek chcąc się wymówić.

- Chodź tutaj - rozkazała Mimbla. - Muszę cię uczesać.

Homek stanął przed nią posłusznie i Mimbla zaczęła rozczesywać jego poczochrane włosy.

- Gdybyś się czesał choćby tylko dziesięć minut dziennie, wcale nie byłoby źle. Dobrze ci się włosy układają i mają ładny kolor. A więc ty nic nie potrafisz? Ale potrafiłeś się



rozzłościć, co? Tylko że potem wszystko popsuleś chowając się pod stół.

Homek stał spokojnie, lubił, jak go czesano.

- Mimblo - odezwał się nieśmiało - gdzie byś poszła, gdybyś była wielkim, złym Stworem?

Mimbla od razu odpowiedziała:

- Do dzikiej części ogrodu, do tego brzydkiego lasku za kuchnią. Oni tam chodzą, jak są źli. - Czesła dalej, a Homek rzekł:

- Chcesz powiedzieć, jak wy jesteście źli.

- Nie. Rodzina - odparła Mimbla. - Szli w najdalszy kąt ogrodu, kiedy mieli wszystkiego dosyć i byli źli, i chcieli, żeby ich zostawiono w spokoju.

Homek zrobił krok w tył i krzyknął;

- To nieprawda! Oni nigdy nie byli źli!

- Stój spokojnie - powiedziała Mimbla. - Jak ja mam cię czesać, kiedy tak skaczesz. Mogę cię zapewnić, że i Tatus Muminka i Mama Muminka, i Muminek byli sobą strasznie zmęczeni od czasu do czasu. Chodź tutaj.

- Nie chcę! - wybuchnął Homek. - Mama nigdy taka nie była ! Była zawsze taka sama! - Otworzył gwałtownie drzwi do salonu i zatrzasnął je za sobą. Mimbla kłamała. Nic nie wiedziała o Mamie. Nie wiedziała, że żadna mama nigdy nie może źle się zachowywać.

Filifionka zawiesiła ostatnią girlandę, niebieską. Cofnęła się o krok i przyjrzała kuchni. Była to najbardziej zakurzona i najbrudniejsza kuchnia na świecie, lecz, ach, jakże pięknie udekorowana! Mieli zjeść wczesną kolację na werandzie, odgrzaną zupę . rybną, a po siódmej będą podane gorące grzanki z serem i wino z jabłek. Wino znalazła w szafie na ubrania Tatusia, a puszkę ze skórkami z sera na najwyższej półce w spiżarni. Była na niej naklejka: „Dla myszy polnych”.

Filifionka eleganckimi ruchami poukładała serwetki, tak złożone, że każda przypominała łabędzia (Włóczykij nie dostał oczywiście żadnej, bo odmawiał używania serwetek). Pogwizdywała cichutko, na jej czole sterczały ozdobnie duże ilości małych, twardych loczków i widać było, że pomalowała sobie brwi. Nic nie łąziło za tapetami, nic nie biegało wzdłuż listew podłogowych, kołatek przestał świdrować. Nie miała teraz czasu na takie rzeczy, musiała zająć się swoją częścią programu. „Gra cieni: «Wracająca Rodzina». To będzie bardzo dramatyczne - rozważała spokojnie Filifionka. - Będzie im się strasznie podobało”.

Zamknęła drzwi do salonu i drzwi kuchenne na zasuwę. Położyła kawałek tektury na szafce przy zlewie i zabrała się do rysowania. Rysunek miał przedstawiać cztery osoby w łodzi. Dwie duże, jedną mniejszą i jedną całkiem małą. Ta

najmniejsza siedziała w dziobie łodzi. Nie wszystko wyszło jej całkiem tak, jak by chciała, nie miała gumki. Ale chodzi przecież o pomysł. Kiedy rysunek był już gotów, wycięła go i gwoździem przybiła łódkę do kija od miotły. Pracowała szybko i rozważnie i cały czas gwizdała, ale nie piosenki Włóczykija, tylko swoje własne. Zresztą Filifionka znacznie lepiej umiała gwizdać niż rysować czy wbijać gwoździe.

Potem zapaliła lampę kuchenną, bo zaczęło się ściemniać. Dziś jednak zmierzch nie był melancholijny, lecz bardzo obiecujący. Lampa rzuciła słabe światło na ścianę, Filifionka podniosła kij z sylwetką rodziny w łodzi i na tapecie ukazał się cień. Brakowało jeszcze prześcieradła, białego ekranu, na którym będą płynęli po morzu...

- Otwórz! - zawołał Wuj Truj za drzwiami salonu.

Filifionka uchyliła je tylko i powiedziała:

- Jeszcze za wcześnie.

- Tu się coś dzieje - szeptał Wuj Truj. - Przodek został zaproszony, dostał kartę z zaproszeniem! W szafie na ubrania. A to postaw na honorowym miejscu. - Wepchnął jej duży bukiet owinięty mokrym mchem i liśćmi.

Filifionka spojrzała na zwiędłe rośliny i zmarszczyła nos.

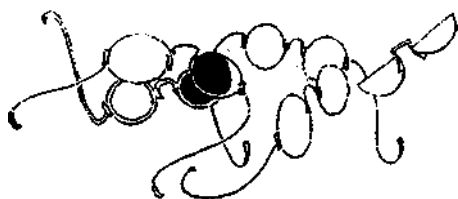
- Żadnych bakterii w mojej kuchni - oświadczyła.

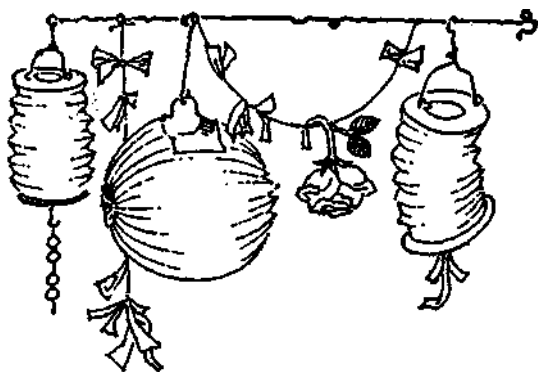
- Przecież to jest klon! Wszystkie są umyte w strumyku - zaprotestował Wuj Truj.

- Bakterie kochają wodę - zauważyła Filifionka. - Zażyłeś lekarstwa?

- Naprawdę sądzisz, że lekarstwa są potrzebne na przyjęciu?! - wykrzyknął Wuj Truj pogardliwie. - Zapomniałem je gdzieś. I wiesz, co się stało? Znowu zgubiłem wszystkie moje okulary!

- Gratuluję - powiedziała Filifionka oziębło. - Według mnie powinieneś posłać bukiet wprost do szafy na ubrania. Tak byłoby grzeczniej. - I zamknęła drzwi lekko nimi trzaskając.





Wszystkie lampiony zostały zapalone - czerwone, żółte i zielone - i przyglądały się swym delikatnym odbiciom w czarnych szybach okiennych. Goście weszli do kuchni, przywitali się wszyscy uroczyście i usiedli. Lecz Paszczak, wciąż stojąc za swoim krzesłem, powiedział:

- To jest wieczór w domu pod znakiem rodziny. Pozwólcie mi rozpocząć go wierszem, który napisałem na tę specjalną okazję i dedykowałem Tatusiowi Muminka. - Wyciągnął kawałek papieru i, bardzo wzruszony, zaczął czytać na głos:

*Pytasz, gdzie szczęście? Kto z was powie?
Czy w ciszy wieczornej, czy w łapki uścisku?
To także chwila, gdy łódź opuszcza sitowie
i można wielbić morza przestrzeń swobodną!
Ach, czym jest życie? Życie jest snem,
rzeką zbląkaną, czasem zawodną.
Teraz, co robić, nie bardzo wiem -
tkliwość przepelnia serce moje
i dźwigam ciężar trosk zbyt wielu...
ach, poczuć chcę w łapie mocny opór steru!*

Paszczak, Dolina Muminków w grudniu

Rozległy się gremialne oklaski.

- Wielbić... - powtórzył Wuj Truj. - Ładnie. Tak właśnie mówiło się, kiedy byłem mały.

- Chwileczkę - powiedział Paszczak. - Nie mnie należą się brawa. Proponuję pół minuty milczenia jako wyraz naszego uznania dla rodziny Muminków. Jemy ich pożywienie - czy też to, co z niego zostało, przechadzamy się pod ich drzewami, żyjemy w stworzonej przez nich atmosferze wyrozumienia, przyjaźni i radości życia. Minuta ciszy!

- Powiedziałaś pół minuty - mruknął Wuj Truj i zaczął liczyć sekundy.

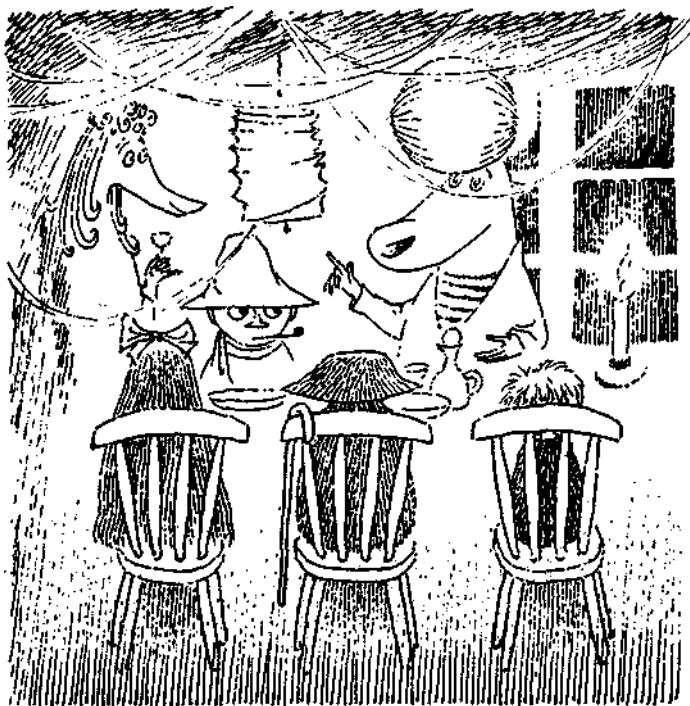
Wszyscy wstali wznosząc kieliszki, to była chwila pełna powagi.

- Dwadzieścia cztery, dwadzieścia pięć, dwadzieścia sześć - liczył Wuj Truj. Miał dziś trochę zmęczone nogi. Powinny to być jego własne sekundy, uroczystość przecież była dla niego, nie dla rodziny. Nie ich bolał przedtem brzuch, tylko jego. I był niezadowolony, że przodek się spóźnia.

Podczas gdy goście chwilą milczenia oddawali hołd rodzinie Muminków, dał się słyszeć cichy, dziwny odgłos ciężkich kroków gdzieś na zewnątrz, chyba przy schodach kuchennych. Jakby coś posuwało się po omacku wzdłuż ściany domu. Filifionka szybko rzuciła okiem na drzwi - były zamknięte na zasuwę. Jej spojrzenie spotkało się z oczami Homka. Oboje podnieśli pyszczki węsząc, ale nic nie powiedzieli.

- Na zdrowie! - wykrzyknął Paszczak. - Oby nam się...

Wszyscy wypili. Z tych najmniejszych



i najwytworniejszych kieliszków na nóżce, z ozdobnym brzeżkiem.

Potem usiedli.

- A teraz - powiedział Paszczak - będzie dalszy ciąg programu. Zaprezentuje się najmniej ważny spośród nas. Czyż nie jest ze wszech miar słuszne, żeby ostatni był pierwszym, co? Homek Toft!

Homek otworzył książkę gdzieś przy końcu. Czytał dość cicho, z przerwą przed długimi wyrazami:

- Strona dwieście dwadzieścia siedem. *Zdarza się tylko w wyjątkowych wypadkach, by ta forma bytu, z gatunku, który*

próbowaliśmy odtworzyć, zachowywała charakter roślinożerny w czysto fizjologicznym sensie i by równocześnie jej stosunek do otaczającego ją świata stawał się, jeśli tak można powiedzieć, coraz bardziej agresywny. Żadne zmiany nie zaszły, jeśli chodzi o wyostrenie refleksów, o szybkość, siłę oraz te rozmaite drapieżne instynkty, które normalnie towarzyszą rozwojowi mięsożernych. Zęby wykazują tępe powierzchnie żujące, pazury są całkiem szczątkowe, wzrok ograniczony. Natomiast objętość zwiększyła się w zadziwiającym stopniu, co - prawdę mówiąc - musiało sprawić kłopoty temu osobnikowi, przyzwyczajonemu od tysiącleci przesypiać życie w ukrytych szczelinach i dziurach. Mamy tu więc do czynienia z zadziwiającą formą rozwoju, która łączy w sobie wszystkie cechy łagodnych zwierząt roślinożernych z nieskuteczną i całkiem niewytłumaczalną agresywnością.

- Co to było, to ostatnie słowo? - spytał Wuj Truj, który cały czas łapką nastawiał ucho. Miał dobry słuch, dopóki wiedział, o czym jest mowa. A to przecież było prawie zawsze wiadome.

- Agresywność - powtórzyła Mimbla dość głośno.

- Nie krzycz, nie jestem głuchy - odpowiedział automatycznie Wuj Truj. - Co to takiego?

- To jest to, co się pokazuje, jak ktoś jest zły - objaśniła Filifionka.

- Aha - rzekł Wuj Truj. - W takim razie wszystko rozumiem. Czy jeszcze ktoś coś napisał, czy też pomału zacznie się program? - Ogarnął go niepokój z powodu przodka. Może przodek też czuł zmęczenie w nogach, może nie mógł zejść ze schodów? A może poczuł się dotknięty

albo po prostu zasnął? „Ciągle coś jest nie tak - myślał rozgniewany Wuj Truj. - Oni się robią całkiem niemożliwi, jak skończą sto lat. I w dodatku nieuprzejmi...”

- Mimbla! - zapowiedział głośno Paszczak. - Pozwólcie mi przedstawić Mimblę!

Mimbla wyszła na środek pokoju bardzo onieśmielona i przejęta swoją osobą. Włosy sięgały jej do kolan, widać było, że mycie głowy się udało. Szybkim skinieniem dała znak Włóczykijowi, żeby zaczął grać. Grał bardzo delikatnie. Mimbla wzniosła ramiona i obracała się drobnymi, niepewnymi kroczkami.

Szu, szu, tidelidu - zagrywała harmonijką; niepostrzeżenie dźwięki przeszły w melodię, stały się weselsze i Mimbla zaczęła tańczyć szybciej, cała kuchnia wypełniła się muzyką i ruchem, a długie, rude włosy Mimbli przypominały frunące promienie słońca. Jakie to było piękne i wesołe! Nikt nie słyszał, że Stwór, ogromny i ciężki, czołga się dookoła domu, w koło i w koło, nie wiedząc, czego chce. Goście wystukiwali takt nogami i śpiewali tideli, tidelu, Mimbla ściągnęła boty, rzuciła szalik na ziemię, papierowe girlandy



powiewały w ciepłe z pieca kuchennego, wszyscy klaskali w łapki, a potem Włóczykij z głośnym okrzykiem skończył granie. Mimbla śmiała się, dumna z siebie.

Rozległy się entuzjastyczne brawa, a Paszczak powiedział ze szczerym podziwem:

- Dziękujemy najserdeczniej!

- Nie dziękujcie mi - odpowiedziała Mimbla. - Ja nie mogłam się powstrzymać! Powinniście zrobić tak samo!

Filifionka wstała i powiedziała:

- Że się nie można powstrzymać i że się powinno - to jakoś nie idzie w parze. Według mnie, to, że powinno się coś zrobić, nie jest tym samym, co to, że można to zrobić...

Wszyscy sięgnęli po kieliszki myśląc, że Filifionka będzie przemawiała. Gdy to jednak nie nastąpiło, zaczęli wołać dopominając się o muzykę. Ale Wuj Truj wyłączył się z ogólnego nastroju i siedział zwijając serwetkę, tak że robiła się coraz sztywniejsza i mniejsza. Najwidoczniej przodek poczuł się dotknięty. Honorowego gościa powinno się przyprowadzić na przyjęcie w asyście, tak jak za dawnych czasów. Zachowali się bardzo źle.

Wuj Truj nagle wstał i uderzył w stół.

- Bardzośmy się źle zachowali - powiedział. - Zaczęliśmy przyjęcie bez naszego honorowego gościa i nie towarzyszyliśmy mu uroczystie przy schodzeniu ze schodów. Za późnoście się wszyscy urodzili i nie macie pojęcia o tym, co eleganckie. Nawet nikt z was żadnej szarady w swoim życiu nie widział! Co to za program bez szarady? Pytam tylko. Posłuchajcie teraz, co wam powiem! Brać udział w programie to znaczy pokazać to, co się ma

najlepszego, i teraz ja pokażę wam mojego przyjaciela, przodka. On nie jest zmęczony. Ma mocne nogi. I jest zły!

Podczas gdy Wuj Truj mówił, Filifionka zaczęła podawać grzanki z serem, dyskretnie, ale jednak. Wuj Truj śledził wzrokiem każdą grzankę, widział, jak lądują na talerzach, aż w końcu wrzasnął:

- Psujesz mi mój numer w programie!

- Ach, przepraszam - powiedziała Filifionka - ale one są g o r ą c e , prosto z pieca...

- Weźcie je z sobą, weźcie, weźcie - powiedział niecierpliwie Wuj Truj - ale schowajcie je za plecami, żeby się nie poczuł jeszcze bardziej dotknięty. I weźcie też kieliszki, żeby wypić za jego zdrowie.

Filifionka podniosła wysoko jeden z lampionów i Wuj Truj otworzył szafę. Ukłonił się głęboko. Przodek też się ukłonił.

- Nie będę się wysilał, żeby ci ich wszystkich przedstawiać - powiedział Wuj Truj. - I tak byś zapomniał, jak się nazywają, zresztą to mało ważne. - Wyciągnął do przodka łąpkę z kieliszkiem, zadzwoniło szkło, gdy przepijali.

- Nic z tego wszystkiego nie rozumiem! - wybuchnął Paszczak.

Mimbla kopnęła go w nogę.

- Musicie wszyscy wypić za jego zdrowie - powiedział Wuj Truj odsuwając się na bok. - Ale gdzie on się podział?

- My chyba jesteśmy za młodzi, żeby do niego przepijać - powiedziała Filifionka. - Mógłby być zły...

- Trzy wiwaty dla przodka! - zawołał Paszczak. - Raz, dwa, trzy... Hurra! Hurra! Hurra!

Kiedy wrócili do kuchni, Wuj Truj powiedział do Filifionki:

- Taka znowu s t r a s z n i e młoda to ty jesteś...

- Tak, tak, tak - rzuciła Filifionka półprzytomnie i podniosła pyszczek wężąc. Pachniało pleśnią, paskudny zapach zgnilizny. Spojrzała na Tofta. Potem odwróciła się i pomyślała: „Elektryczność”.

Miło było wrócić do ciepłej kuchni.

- Chciałbym zobaczyć teraz czarodziejskie sztuczki - oświadczył Wuj Truj. - Czy ktokolwiek potrafi wyciągnąć królika z mojego kapelusza?

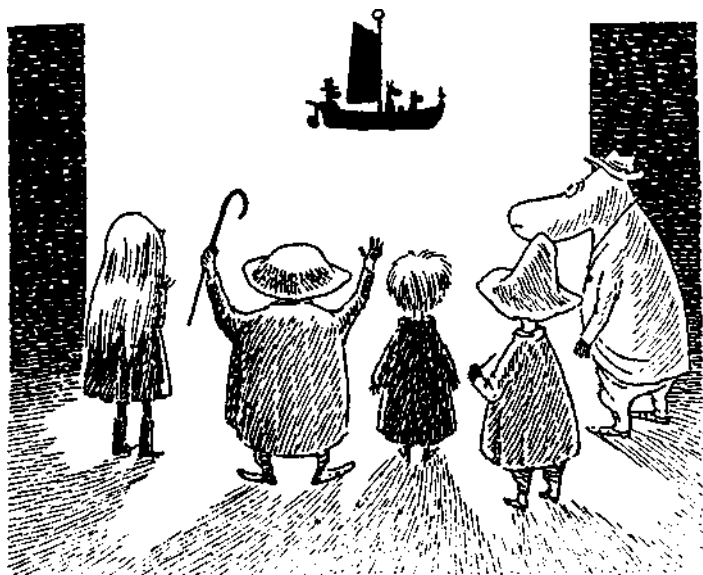
- Nie. Teraz jest moja kolej - powiedziała z godnością Filifionka.

- Wiem, co to będzie! - zawołała Mimbla. - Ta jej okropna historia o tym, że ktoś z nas wychodzi z pokoju i zostaje zjedzony, a potem wychodzi następny i też zostaje zjedzony...

- Będzie gra cieni - oznajmiła Filifionka nie zwracając na nią uwagi. Podeszła do pieca kuchennego i ustawiła się przodem do nich. - Jest to gra cieni pod tytułem „Powrót”. - Zawiesiła prześcieradło na kiju do chleba pod sufitem*, postawiła lampę kuchenną za prześcieradłem, na skrzyni z opałem, i obeszła kuchnię gasząc wszystkie lampiony.

- A kiedy światło znowu zapalono, okazało się, że zjedzony został ostatni - powiedziała Mimbla sama do siebie.

* W Finlandii nawleka się okrągłe, płaskie chleby z dziurą w środku na kij umieszczony pod sufitem.



Paszczak uciszył ją sycząc. Filifionka zniknęła za dużym, biało świecącym prześcieradłem, wszyscy patrzyli pełni oczekiwania, a Włóczykij zaczął grać cichutko, jakby szeptem.

I wtedy na białym ekranie pojawił się cień, czarna sylwetka łodzi. W jej dziobie siedział ktoś bardzo mały, z włosami upiętymi na czubku głowy w koczek podobny do cebuli.

„To Mi - pomyślała Mimbla. - Ona tak właśnie wygląda. Dobrze to jest zrobione”.

Łódź wolno sunęła po prześcieradle, czyli po morzu, nigdy żadna łódź nie płynęła tak cicho i tak naturalnie, a w niej siedziała cała rodzina: Muminek i Mama Muminka z torebką opartą o reling, i Tatuś Muminka w kapeluszu; Tatuś siedział na rufie i sterował; płynęli do domu. (Ale ster nie bardzo dobrze wyszedł).

Homek Toft patrzył jedynie na Mamę Muminka, miał czas przypatrzeć się każdemu szczegółowi. Czarny cień nabierał barw, sylwetki jakby się poruszały. Włóczykij cały czas grał tak zgrabnie, że nikt nie słyszał muzyki, dopóki nie ustała. Rodzina wróciła do domu.

- To prawdziwa gra cieni - powiedział Wuj Truj sam do siebie. - Wiele ich widziałem, ale ta była najlepsza.

Kurtyna opadła, przedstawienie skończyło się. Wszyscy siedzieli po ciemku milcząc i czekając, troszkę zaskoczeni.

Wtem Filifionka powiedziała:

- Nie mogę znaleźć zapalek.

Ciemność natychmiast przybrała inny charakter. Usłyszeli świst wiatru i wydawało im się, że kuchnia jakby się powiększyła, jakby się ściany rozstały w ciemną noc na zewnątrz; zaczęli marznąć w nogi.

- Nie mogę znaleźć zapalek - głośno powtórzyła Filifionka.

Zaszurały po podłodze nogi krzesel, coś przewróciło się na stole. Wszyscy wstali potrącając się w ciemności, ktoś zaplątał się w prześcieradło i wpadł na krzesło. Homek Toft podniósł głowę, Stwór był teraz koło domu, wielkie, ciężkie cielsko ocierało się o ścianę przy drzwiach kuchennych. Znowu zagrzmiało.

- Są na dworze - wrzasnęła Filifionka. - Włóż tu!

Toft przyłożył ucho do drzwi, ale nic nie było słyhać poza wiatrem. Otworzył zasuwę i wyszedł, drzwi zamknęły się za nim bezgłośnie.

Nareszcie lampa została zapalona. Włóczykij znalazł

zapałki. Paszczak zaśmiał się z zażenowaniem.

- Patrzenie! - powiedział. - Wsadziłem całą łapę w grzanki!

Kuchnia znowu wyglądała jak zawsze, ale nikt nie usiadł. I nikt nie zauważył, że Homek wyszedł.

- Zostawmy wszystko tak, jak jest - powiedziała nerwowo Filifionka. - Nic nie ruszajcie. Zmyję jutro rano.

- Nie myślicie chyba iść do domu? - wykrzyknął Wuj Truj. - Przodek poszedł już spać i teraz dopiero może się zacząć zabawa!

Nikt jednak nie miał ochoty dalej się bawić. Powiedzieli sobie dobranoc, szybko i bardzo uprzejmie, wymienili uścisk łapek i po chwili nie było już śladu gości. Wuj Truj, zanim też sobie poszedł, tupnął nogą w podłogę i powiedział:

- Ja w każdym razie wyszedłem ostatni!

Na dworze Toft stanął na schodach pograżonych w ciemności. Wolał zaczekać. Niebo było trochę jaśniejsze od gór rysujących się falistym konturem wkoło Doliny Muminków. Stwór nie odzywał się, ale Toft wiedział, że na niego patrzy.

Zawołał cicho:

- Nummulitku... mała Radiolario, Protozoo...

Lecz Stwór nie mógł przecież znać dziwnych nazw książkowych. Może taki się czuł oszołomiony, że nie wiedział nawet, dlaczego warczy.

Toft bardziej się martwił, niż bał. Niepokoilo go, co Nummulit mógłby przedsięwziąć na własną rękę, był za duży i za bardzo zły, i absolutnie nie przyzwyczajony do tego, żeby takim być. Homek zrobił niepewnie krok do



przodu i wyczuł, że Stwór natychmiast się cofnął.

- Nie musisz uciekać - powiedział Toft. - Odsuń się tylko trochę. - Szedł dalej po trawie, a Stwór cofał się przed nim jak niezgrabny, bezkształtny cień, gałązki krzaków łamały się z trzaskiem, gdziekolwiek stąpnął.

„Zrobił się za duży - myślał Homek. - Jest tak duży, że nie daje sobie rady”.

Teraz słyhać było trzaski w krzakach jaśminu. Homek przystanął i szepnął:

- Spokojnie, spokojnie...

Stwór warknął na niego. Słyhać było lekki szum deszczu, gdzieś grzmiało, bardzo daleko. A oni wciąż szli i Toft cały czas przemawiał do swojego Stwora. Doszli wreszcie do szklanej kuli; była jasnoniebieska dzisiejszego wieczoru, wezbrane fale rysowały się wyraźnie w ciemności.

- Nie warto - mówił Homek. - Nie umiemy się odgryzać.

Nigdy nie potrafimy się im odgryźć, możesz mi wierzyć.

Nummulit słuchał, ale może słuchał tylko głosu Homka. A Homek czuł, że mu zimno i że przemoczył nogi. Zniecierpliwiony powiedział:

- Zrób się mały i schowaj się! Nigdy sobie z tym nie poradzisz.

Nagle szklana kula pociemniała. Długie, niebieskie fale rozstały się odsłaniając zawrotnie głęboki wir i znowu się zwały, Stwór z gatunku Protozoa zrobił się mały i zniknął w otchłani swego pierwotnego żywiołu. Szklana kula Tatusia, która wszystko przygarniała, wszystko brała pod swoją opiekę, otworzyła się dla przerażonego Nummulita.

Homek Toft wrócił do domu, przemknął się na poddasze i zwinąwszy się w sieci rybackiej natychmiast zasnął.

Gdy goście poszli, Filifionka, sama na środku kuchni, pogrążyła się w rozmyślaniach. Wszystko było do góry nogami, girlandy podeptane, krzesła przewracane, wszędzie stearyna z lampionów. Podniosła z ziemi grzanekę, bezmyślnie odgryzła kawałek, wyrzuciła resztę do kubła.

- Udana zabawa - powiedziała sama do siebie.

Znowu zaczęło padać. Nasłuchiwała uważnie, ale nic nie było słyhać prócz deszczu. To, czego się bała, zniknęło.

Właściwie Filifionka nie była ani zadowolona, ani zmartwiona. I nie czuła żadnego zmęczenia. Wszystko tkwiło jakby w bezruchu, więc dalej nasłuchiwała. Potem wzięła ze stołu harmonijkę, którą zostawił Włóczykij, i trzymając ją w łapce czekała. Na dworze szumiał deszcz.

Filifionka podniosła harmonijkę do pyszcza, dmuchnęła, przeciągnęła ją raz w jedną, raz w drugą stronę, przysłuchując się dźwiękom.

Wreszcie usiadła przy kuchennym stole. Jak to było? Tidelo, tidelu... Trudno utrafić. Spróbowała jeszcze raz i jeszcze, bardzo ostrożnie przenosiła się z dźwięku na dźwięk, aż znalazła pierwszy, następne same już przyszły. Melodia uciekła jej, ale potem znowu wróciła. Na pewno trzeba wyczuwać, a nie szukać. Tidelu, tidelo - zjawił się cały szereg dźwięków, każdy na niezaprzeczalnie swoim, sobie właściwym miejscu.

Godziny mijały, a Filifionka wciąż siedziała przy stole w kuchni i grała na harmonijce, niepewnie, ale z wielkim nabożeństwem. Dźwięki zaczęły przypominać melodie, a melodie stały się muzyką. Grała piosenki Włóczykija i piosenki własne, teraz nic nie mogło dotknąć jej ani wystraszyć. Nie zastanawiała się, czy inni ją słyszą, czy nie. Na dworze, w ogrodzie, panowała cisza, poznikalo wszystko, co pełza, była zwyczajna, ciemna jesienna noc i wiatr przybierał na sile.

Filifionka zasnęła przy kuchennym stole, z głową opartą na ramionach. Spała bardzo dobrze, aż do wpół do dziewiątej rano, a kiedy się obudziła i rozejrzała dokoła, powiedziała sama do siebie:

- Co za bałagan! Zrobimy dziś wielkie sprzątanie!





Pięć po wpół do dziewiątej, zanim zdażyło się rozjaśnić, wszystkie okna zostały pootwierane jedno po drugim, materace, narzuty i koce wylewały się z każdego parapetu, a po całym domu hulał wspaniały przeciąg wznoszący gęste tumany kurzu.

Filifionka sprzątała. Wszystkie garnki, jakie tylko były, stały na kuchni i grzała się w nich woda, szczotki, ścierki i miski tańcząc wyskakiwały ze swoich szaf. Poręcz werandy zdobiły przewieszane przez nią dywany. Odbywało się kolosalne wręcz sprzątanie, największe, jakie ktokolwiek kiedykolwiek widział. Tamci stali wszyscy w ogrodzie i dziwili się widząc, jak Filifionka wpada i wypada, wychodzi i wraca, z chustką na głowie, w fartuchu Mamy Muminka, tak dużym, że okręcona nim jest trzy razy.

Włóczykij wszedł do kuchni po swoją harmonijkę.

- Leży na półce nad piecem - powiedziała Filifionka w przelocie. - Obchodziłam się z nią bardzo ostrożnie.

- Mogłabyś ją zatrzymać trochę dłużej - rzekł Włóczykij z pewnym wahaniem.

Lecz Filifionka odparła rzeczowo:

- Zabierz ją. Sprawię sobie swoją własną. Ale uważaj, depcesz po śmieciach!

Cudownie było móc znowu sprzątać. Wiedziała dokładnie, gdzie kurz się pochował. Miękki, szary, zadowolony z siebie, zalegał wygodnie wszystkie kąty. Wypędzała każdy kłębek, który od toczenia się urósł i napęczniał, nabił się włosami i myślał, że jest całkiem bezpieczny, cha, cha! Larwy moli, pająki, stonogi, wszelkiego rodzaju pełzające, czołgające się paskudztwa przewracały się do góry nogami pod wielką miotłą Filifionki, a cudowne strumienie gorącej wody i pieniających się mydlin spłukiwały wszystko i mnóstwo tego wyjeżdżało za drzwi, wiadro za wiadrem. Naprawdę przyjemnie było żyć!

- Nigdy nie lubiłem, kiedy kobiety sprzątają - stwierdził Wuj Truj. - Czy ktokolwiek powiedział jej, żeby nie ruszała szafy przodka?

Lecz szafa też została sprzątnięta, dwa razy dokładniej niż wszystko inne. Jedyna rzecz, którą Filifionka zostawiła w spokoju, to lustro na wewnętrznej stronie drzwi - niech sobie dalej będzie zamglone.

Po jakimś czasie radość sprzątanania udzieliła się wszystkim z wyjątkiem Wuja Truja. Nosili wodę i trzepali dywany, szorowali podłogi, gdzie popadło, każdy dostał swoje okno do umycia, a gdy chciało im się jeść, szli do spiżarni i brali sobie resztki z przyjęcia. Filifionka nic nie jadła i wcale nie rozmawiała, gdzieby tam miała czas i ochotę na coś takiego! Czasem gwizdała sobie trochę, lekka i giętka poruszała się jak podmuch wiatru - zjawiała się to tu, to tam, wynagradzała sobie wszystkie chwile osamotnienia i strachu i myślała mimochodem:



„Co mnie takiego napadło? Nie byłam przecież niczym innym, jak tylko ogromną, szarą kulą kurzu... I dlaczego?” Ale tego nie mogła sobie przypomnieć.

I tak minął, szczęśliwie bez deszczu, ów wielki, wspaniały dzień sprzątanía. O zmierzchu wszystko znalazło się na swoim miejscu - czyste, wyblyszczzone i wywietrzone, a zdziwiony dom patrzył na wszystkie strony przez świeżo umyte okna. Filifionka zdjęła chustkę z głowy i powiesiła fartuch Mamy Muminka na odpowiednim kołku.

- No to już - powiedziała. - A teraz wracam do siebie,

żeby sprzątnąć mój dom. Bardzo tego potrzebuje.

Siedzieli wszyscy razem na schodach werandy, wieczór był bardzo zimny, lecz świadomość rozstania i zbliżającej się zmiany trzymała ich w miejscu.

- Dzięki za sprzątnięcie domu - powiedział Paszczak ze szczerym podziwem.

- Nie dziękuj mi - odparła Filifionka. - Nie mogłam się powstrzymać! Powinniście robić tak samo. To znaczy Mimbla.

- Jest jedna dziwna rzecz - rzekł Paszczak. - Wydaje mi się czasem, że wszystko, co mówimy i robimy, i wszystko, co się dzieje, już się kiedyś działo, no nie? O ile mnie rozumiecie. Wszystko jest takie samo.

- Dlaczego miałyby być inne? - zapytała Mimbla. - Paszczak jest zawsze Paszczakiem i zdarzają mu się tylko te same rzeczy. A Mimblom zdarza się czasem, że uciekają, żeby nie musieć sprzątać! - Zaśmiała się głośno, klepiąc się po kolanach.

- Czy ty zawsze będziesz taka sama? - spytała Filifionka przez ciekawość.

- Mam wielką nadzieję, że tak - odpowiedziała Mimbla.

Wuj Truj patrzył to na jedno z nich, to na drugie, był bardzo zmęczony ich sprzątaniami i ich gadaniem, które do niczego nie prowadziło.

- Zimno tu - stwierdził. Wstał i na sztywnych nogach poszedł do domu.

- Będzie śnieg - powiedział Włóczykij.

Następnego rana spadł śnieg, leciały z nieba małe, twarde płatki. Zrobiło się strasznie zimno. Filifionka i Mimbla

stały na moście i żegnały się. Wuj Truj jeszcze spał.

- Spędziliśmy ten czas bardzo pożytecznie - rzekł Paszczak. - Mam nadzieję, że znów kiedyś się spotkamy, razem z rodziną.

- Tak, tak, tak - powiedziała Filifionka z roztargnieniem. - Powiedzcie im w każdym razie, że porcelanowy wazon jest ode mnie. Jaką te organki mają nazwę?

- Harmonium dwa - odparł Włóczykij.

- Szczęśliwej podróży - wymamrotał Toft.

A Mimbla dodała:

- Ucałujcie ode mnie Wuję Truja w nos. I pamiętajcie, że on lubi kiszzone ogórki i że rzeka jest potokiem.



Filifionka podniosła z ziemi torbę.

- Pilnujcie, żeby zażywał swoje lekarstwa - przykazała surowo. - Obojętne, czy chce, czy nie. Sto lat to nie żarty. I gdybyście mieli ochotę, to możecie sobie urządzić od czasu do czasu przyjęcie.

Ruszyła mostem nie oglądając się. Mimbla szła za nią.

Zniknęły w wirującym śniegu, ogarnięte melancholią i równocześnie uczuciem ulgi, jak to zwykle bywa przy pożegnaniach.

Śnieg padał nieprzerwanie i zrobiło się jeszcze zimniej. Biała pokrywa na ziemi, rozstanie, wyczyszczony dom - wszystko to sprawiło, że dzień upłynął w bezruchu i zadumie. Paszczak stał patrząc do góry na swoje drzewo, odpiłowywał kawałek deski, zostawiał ją na ziemi i znowu tylko stał i patrzył. Czasem szedł postukać w barometr.

Wuj Truj leżał na kanapie w salonie i rozmyślał nad tym, jak to różne rzeczy się zmieniły. Mimbla miała rację. Całkiem nagle odkrył, że potok był jednak strumieniem, brunatnym strumieniem, wijącym się między zaśnieżonymi brzegami, po prostu brunatnym strumieniem. Teraz nie mógł już łowić ryb. Położył sobie aksamitną poduszkę na głowie i wspominał swój własny, wesoły potok, przypominał sobie coraz lepiej, jak potok płynął i jak mijały dni za owych czasów, dawno temu, kiedy było dużo ryb, kiedy noce były ciepłe i jasne i ciągle coś się działo. Mało się nóg nie pogubiło, żeby za wszystkim nadażyć, wystarczała krótka drzemka w przelocie i śmiać się chciało z byle czego... Wuj Truj poszedł porozmawiać z przodkiem.



- Hej! - powitał go. - Pada śnieg. Dlaczego w obecnych czasach zdarzają się tylko małe rzeczy! Dlaczego są takie błahe? Gdzie jest mój potok?

Zamilkł, zmęczony mówieniem do przyjaciela, który nigdy nie odpowiadał.

- Jesteś za stary - powiedział uderzając laską w podłogę. - A teraz, kiedy przyjdzie zima, zrobisz się jeszcze starszy. W zimie człowiek robi się strasznie stary.

Patrzył na swego przyjaciela i czekał. Wszystkie drzwi na piętrze stały otworem, pokoje były puste i czyste, zniknęło z nich wszystko, co ma w sobie przyjemną niedbałość, dywany leżały równo jak poważne prostokąty, panował

dojmujący chłód, wszędzie kładło się śnieżne, zimowe światło.

Wuja Truja ogarnął nagle gniew, poczuł się opuszczony. Zawołał:

- No i co? Odezwij się!

Ale przodek nie odpowiadał, stał tylko w swoim znacznie za długim szlafroku, wytrzeszczając oczy i nic nie mówiąc.

- Wyjdź z tej twojej szafy! - rozkazał Wuj Truj. - Wyjdź i popatrz! Oni wszystko pozmieniali i tylko my dwaj wiemy, jak było kiedyś!

I nagle stuknął przodka laską w brzuch, dość mocno. Rozległ się brzęk, stare lustro pękło, rozleciało się i runęło na ziemię; jeden długi, wąski odłamek uchwycił na moment oszołomioną twarz przodka - a potem też spadł i Wuj Truj został twarzą w twarz z arkuszem brązowej tektury, który absolutnie nic nie znaczył.

- Ach, więc to tak - westchnął. I poszedł sobie. Rozgniewał się i poszedł.

Wuj Truj rozmyślał siedząc przed piecem kuchennym. A przy stole siedział Paszczak z całą masą rozłożonych przed sobą rysunków.

- Coś jest nie tak ze ścianami - powiedział. - Są krzywe i wszystko przez nie wylatuje. Nie mogę ani rusz tak zrobić, żeby pasowały do gałęzi.

„Może zapadł w sen zimowy” - myślał Wuj Truj.

- Prawdę mówiąc - ciągnął Paszczak - jest się zamkniętym przez ściany. A siedząc na drzewie byłoby może przyjemniej móc patrzeć i widzieć, co się dzieje dookoła, no nie?

- Może ważne rzeczy zdarzają się na wiosnę - mruknął Wuj Truj sam do siebie.

- Co powiedziałeś? - spytał Paszczak. - Jest przyjemniej?

- Nie - odparł Wuj Truj, wcale go nie słuchając.

Teraz nareszcie wiedział, co robi, to było całkiem proste! Przeskoczy przez całą zimę i jednym, długim susem znajdzie się w kwietniu. Nie ma powodu do zmartwień, absolutnie żadnego! Wystarczy zrobić sobie przyjemny dołek do spania i niech się świat toczy dalej własnym torem. A kiedy się obudzi, wszystko będzie tak, jak powinno być.

Wuj Truj poszedł do spiżarni i zdjął z półki wazę z igliwem. Był ogromnie zadowolony i nagle straszliwie śpiący. Przechodząc koło Paszczaka, zatopionego w ponurych rozmyślaniach, powiedział:

- Hej! Idę zapaść w sen zimowy.

- Hej! - odparł Paszczak półprzytomnie. Gdy się drzwi zamknęły, podniósł na chwilę pyszczek patrząc za wychodzącym Wujem Trujem, a potem zagłębił się na nowo w trudnej sztuce budowania domu na klonie.

Tego wieczoru niebo było całkiem czyste. Gdy Homek szedł przez ogród, cienki lód trzaskał pod jego łapkami. Dolinę wypełniała zimowa cisza, śnieg rozświetlał stoki. Szklana kula była pusta. I nie była niczym innym, jak tylko ładną, niebieską szklaną kulą. Lecz na czarnym niebie błyszcząły niezliczone ilości iskrzących się, połyskujących diamentów, miliony zimowych gwiazd migocących na mrozie.

- Już jest zima - powiedział Homek wróciwszy do kuchni.

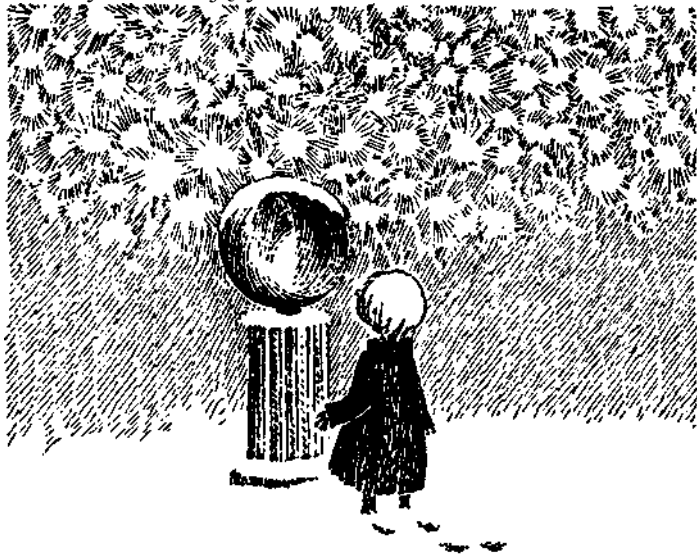
Tymczasem Paszczak zdecydował, że będzie przyjemniej bez ścian, z samą tylko podłogą; z ulgą związał swoje papiery i powiedział:

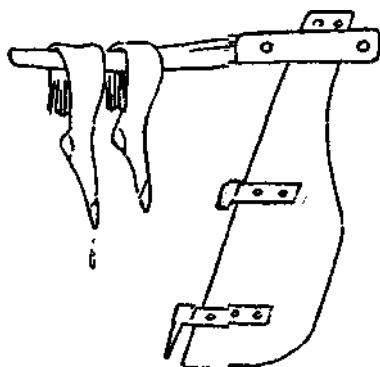
- Wuj Truj poszedł zapaść w sen zimowy.

- Wziął swoje rzeczy? - spytał Homek.

- A na co mu one? - zdziwił się Paszczak.

Jasne, ten, kto zapada w sen zimowy, jest znacznie młodszy, kiedy się budzi; niczego wtedy nie potrzebuje poza tym, żeby go zostawiono w spokoju. Lecz Homek wyobrażał sobie, że taki ktoś w chwili przebudzenia powinien koniecznie wiedzieć, że się o nim myślało, kiedy spał. Dlatego też odszukał rzeczy Wuja Truja i ustawił je przed szafą. Przykrył go puchową kołdrą i starannie nią otulił, bo zima mogła być ostra. W szafie lekko pachniało przyprawami. Resztką koniaku w butelce starczy akurat na wiosenny orzeźwiający kieliszczyk w kwietniu.





Kiedy Wuj Truj zapadł w sen zimowy w szafie na ubrania, w dolinie zrobiło się jeszcze ciszej. Czasem słychać było, jak Paszczak stuka młotkiem wysoko na klonie, czasem znów, jak rąbie drzewo przy drewni. Poza tym panowała cisza. Mówili sobie „hej” i „dzień dobry”, ale nie mieli ochoty rozmawiać. Czekali na finał swojej historii.

Co jakiś czas ktoś szedł do spiżarni, żeby coś zjeść. Garnek na kawę całymi dniami grzał się na kuchni.

Właściwie cisza w dolinie była bardzo przyjemna i wypoczynkowa i znacznie lepiej przywykali do siebie nie spotykając się tak często. Niebieska szklana kula była całkiem pusta, gotowa napęlić się czymkolwiek. Robiło się coraz zimniej.

Któregoś ranka coś się zdarzyło: podłoga domku na drzewie spadła z trzaskiem i duży klon znowu wyglądał tak samo, jak przed rozpoczętą przez Paszczaka budową.

- Dziwna rzecz - powiedział Paszczak. - Teraz znów mam takie uczucie, że ciągle dzieje się to samo.

Stali wszyscy trzej pod klonem i patrzyli na to, co się stało.

- Może - odezwał się Toft nieśmiało - może Tatuś wolałby siedzieć na drzewie bez tego wszystkiego?

- Chyba masz rację - zgodził się Paszczak. - To by było znacznie bardziej w jego stylu, co? Mógłbym oczywiście wbić gwóźdź na sztormówkę, ale gdyby wisiała na gałęzi, toby nawet wyglądało bardziej naturalnie.

Wrócili do domu, żeby się napić kawy; tym razem pili ją wspólnie i mieli nawet spodki pod filiżankami.

- Pomyśleć tylko, jak jednak nieszczęśliwy wypadek zbliża - stwierdził Paszczak poważnie, mieszając kawę łyżeczką. - No i co będziemy teraz robili?

- Będziemy czekali - powiedział Homek.

- Oczywiście - odparł Paszczak. - Ale ja? Ty możesz po prostu czekać, aż wrócą, ale ze mną to całkiem inna sprawa.

- Dlaczego? - spytał Homek.

- Nie wiem - odpowiedział Paszczak.

Włóczykij dołał kawy i rzekł:

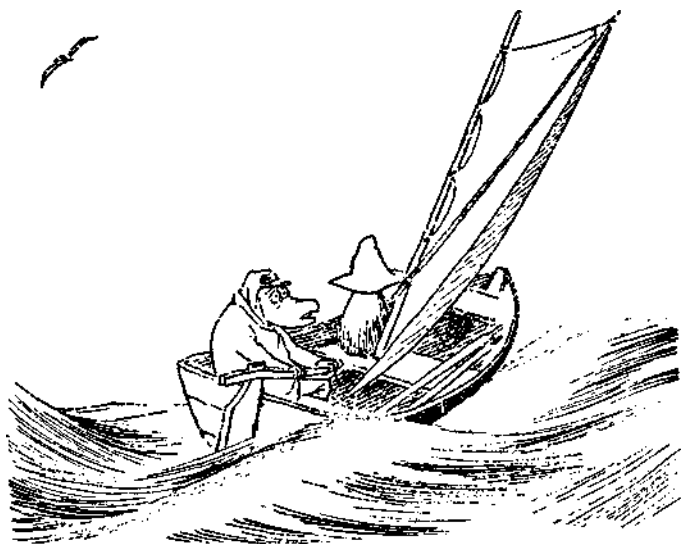
- Po dwunastej zerwie się wiatr.

- Ty zawsze mówisz w ten sam sposób! - wybuchnął Homek. - Ktoś pyta, co ma robić i co będzie, i że to jest okropne, a ty odpowiadasz, że będzie śnieg albo wiatr, albo coś w tym rodzaju, albo chcesz jeszcze cukru...

- Znowu się rozgniewałeś - zdziwił się Paszczak. - Dlaczego złościsz się z takimi długimi przerwami?

- Nie wiem - wymamrotał Toft. - Nie jestem zły, tak mnie jakoś napadło...

- Myślałem o jolce - powiedział Włóczykij. - Gdyby był wiatr po dwunastej, moglibyśmy, Paszczak i ja, spróbować pożeglować trochę.



- Jolka cieknie - rzekł Paszczak.

- Nie - odparł Włóczykij. - Uszczelniłem ją. I znalazłem w drewnutni żagiel. Masz ochotę?

Toft prędko spuścił oczy i przyglądał się filizance z kawą; czuł, że Paszczak się boi. A Paszczak odpowiedział:

- To by było cudownie.

Okolo wpół do pierwszej zaczął wiać wiatr, niezbyt silny, ale mimo to na całym morzu zrobiły się białe baranki. Jolka czekała przygotowana przy pomoście kąpielowym. Włóczykij rozpiął żagiel i puścił Paszczaka na dziób. Było bardzo zimno, mieli na sobie wszystkie wełniane rzeczy, jakie tylko mogli znaleźć. Czyste niebo zamykało się nad horyzontem wałem granatowych, zimowych chmur. Włóczykij wziął kurs na cypel, jolka przechyliła się i nabrała szybkości.

- Majestat morza! - zawołał Paszczak drżącym głosem; był błądliwy i patrzył z przerażeniem na brzeg burty po zawietrznej stronie, sunący znacznie za blisko spienionej, zielonej wody. „A więc takie to jest uczucie - myślał. - Tak wygląda żeglowanie. Świat wywraca się do góry nogami, a ty wisisz na samiusieńkim brzegu bezdennej przepaści, marzniesz, wstydzisz się i żałujesz, kiedy jest już znacznie za późno, żeś się w ogóle wybrał. Żeby on tylko nie zauważył, jak ja się boję”.

Koło cypla jolka dostała się na długą falę wywołaną jakimś sztormem daleko na morzu, Włóczykij zahalsował*, a potem popłynął prosto dalej.

Paszczakowi zaczęło być niedobrze. Mdłości brały go powoli, zdradliwie, ziewał i ziewał, przełykał i przełykał, a potem nagle poczuł się słabo i żałośnie w całym ciele, wstrętne mdlenie coraz bardziej mu wzbierało w żołądku i już nic nie chciał, tylko umrzeć.

- Teraz ty weź ster - powiedział Włóczykij.

- Nie, nie, nie! - szepnął Paszczak machając w proteście obiema łapkami. Ruch ten wywołał nowe, okropne tortury w żołądku i calutkie, bezlitosne morze znowu wywróciło się na drugą stronę.

- Musisz wziąć ster - powtórzył Włóczykij. Wstał i przeszedł przez środkową ławeczkę.

Ster bujał bezradnie tu i tam... ktoś musiał go przecież wziąć, to było straszne... Paszczak przedostał się na rufę, potykając się i zataczając przy ławeczkach, i chwycił ster zsiniałymi z zimna łapkami, żagiel trzepotał jak zwariowany, to był koniec świata! A Włóczykij siedział

* Halsować - płynąć zygakiem zmieniając często kurs.

sobie, wpatrzony w horyzont.

Paszczak sterował to w jedną stronę, to w drugą, żagiel łomotał, woda wlewała się do jolki, a Włóczyki wciąż siedział i patrzył na horyzont.

Paszczakowi było tak niedobrze, że nie mógł myśleć, sterował odruchowo, nagle potrafił sterować, żagiel nabrał wiatru i jolka szła równo wzdłuż brzegu, niesiona długą falą.

„Nie wymiotuję - myślał Paszczak. - Będę się trzymał steru z całej siły i nie wymiotuję”.

Żołądek uspokajał mu się powoli. Paszczak wbił oczy w dziób jolki, który wznosił się i opadał w fale, wznosił się i opadał...

„Niech to trwa do końca świata, byle mnie tylko znowu nie zaczęło mdlić. Wolę iść na dno niż wymiotować...”

Nie miał odwagi zrobić najmniejszego ruchu ani żadnej miny, ani o czymkolwiek pomyśleć, wpatrywał się tylko w dziób, który wznosił się i opadał, a jolka pruła z wiatrem coraz dalej i dalej w morze.

Homek Toft pozmywał i przygotował Paszczakowi łóżko. Zebrał też spod klonu deski na podłogę i schował je za drewnią. A teraz siedział przy stole w kuchni, słuchał wiatru i czekał.

Wreszcie usłyszał rozmowę w ogrodzie. Wrócili. Rozległy się kroki na schodach kuchennych i Paszczak wszedł mówiąc:

- Hej!

- Hej, hej! - odpowiedział Homek. - Mieliście silny wiatr?

- Prawie sztorm - rzekł Paszczak. - Takie krzepiące, rześkie powietrze.

Nadal był zielony na twarzy i trząsł się cały z zimna. Zdjął buty i skarpety i powiesił je nad kuchnią, żeby wyschły. Homek nalał mu kawy. Siedzieli naprzeciwko siebie przy kuchennym stole, obaj zmieszani.

- Zastanawiam się - zaczął Paszczak - zastanawiam się, czy nie byłby może czas wracać pomału do domu. - Kichnął i dodał: - Ja sterowałem.

- Może tęsknisz za swoją łodzią? - powiedział Homek.

Paszczak bardzo długo nic nie mówił. Kiedy się wreszcie odezwał, na jego twarzy malowało się uczucie ogromnej ulgi.

- Wiesz co? - rzekł. - Coś ci powiem. Byłem dziś w ogóle pierwszy raz w życiu na morzu!

Homek podniósł na niego oczy, a Paszczak zapytał:

- Nie dziwisz się?

Homek potrząsnął głową.

Paszczak wstał i zaczął chodzić tam i z powrotem po kuchni, bardzo podniecony.

- To żeglowanie to coś straszego - mówił. - Wiesz, tak mnie mdliło, że chciałem tylko umrzeć, i cały czas się bałem!

Homek Toft spojrział na niego i powiedział:

- To musiało być okropne!

- Było - przyznał Paszczak z wdzięcznością. - Ale nie dałem Włóczykijowi niczego po sobie poznać! Uważał, że bardzo dobrze sobie radzę z żaglem, że mam prawidłowy chwyt, rozumiesz. A teraz wiem, że już nie muszę żeglować. Dziwne, co? Właśnie dopiero co zrozumiałem, że już nigdy nie będę musiał żeglować!

Podniósł pyszczek i serdecznie się roześmiał. Potem energicznie wytarł nos w ręcznik kuchenny i powiedział:

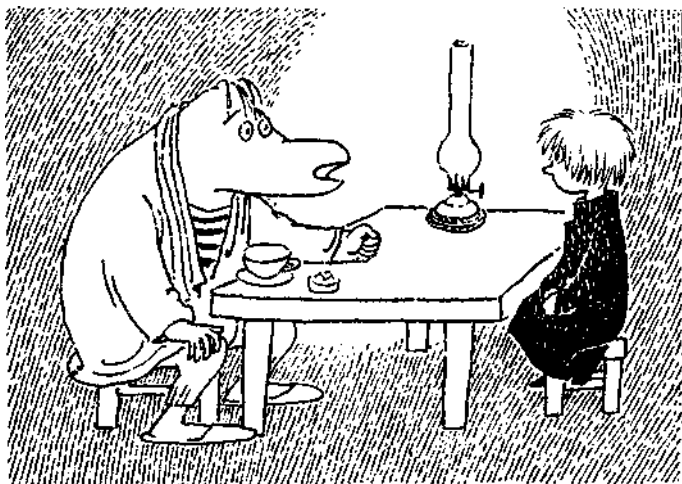
- Już mi ciepło. Jak tylko buty i skarpety wyschną, wracam do domu. Ładny tam musi być bałagan! A ile do zorganizowania!

- Będziesz sprzątał? - spytał Toft.

- Na pewno nie! - wybuchnął Paszczak. - Będę organizował różne rzeczy dla innych. Niewielu ludzi wie, jak ma żyć i jak sobie radzić samemu.

Most był zawsze miejscem pożegnań. Paszczak stał gotowy do drogi, buty i skarpety wyschły. Wiatr, wcale nie mniejszy, rozwiewał cienkie włosy na jego głowie. Paszczak miał trochę kataru albo może był po prostu wzruszony.

- Tu jest mój wiersz - powiedział dając Włóczykijowi kawałek papieru. - Zapisałem go na pamiętkę.



Ten, wiecie, który zaczyna się od: „Pytam, gdzie szczęście?”
Trzymaj się i pozdrów rodzinę. - Podniósł łapkę i wyruszył.

Kiedy już był na drugim końcu mostu, Toft dogonił go i zapytał:

- Co zrobisz z łodzią?

- Z łodzią? - powtórzył Paszczak. - Ach tak, oczywiście, z łodzią. - Zastanawiał się przez chwilę, a potem powiedział: - Poczekam, aż znajdzie się ktoś odpowiedni.

- Ktoś, kto marzy, żeby żeglować? - Toft chciał wiedzieć dokładnie.

- Wcale nie - odparł Paszczak. - Ktoś, kto potrzebuje łodzi. - Zamachał łapką i zniknął między brzozaami.

Homek głęboko westchnął, z ulgą. Jeszcze jeden sobie poszedł. Niedługo dolina będzie równie pusta jak szklana kula i będzie należała wyłącznie do rodziny Muminków i do Homka Tofta. Podszedł do Włóczykija i zapytał:

- A ty kiedy pójdziesz?

- To zależy - odparł Włóczykij.





Toft wszedł po raz pierwszy do pokoju Mamy Muminka. Pokój był biały. Nappełnił wodą dzbanek i wygładził szydełkową narzutę na łóżku. Postawił wazon Filifionki na stoliku nocnym. W pokoju Mamy nie wisały na ścianach obrazki i nic nie leżało na komodzie prócz małej miseczki z agrafkami, a także gumowego korka i dwóch okrągłych kamieni. Na parapecie okiennym Toft znalazł scyzoryk. „Zapomniała go - pomyślał. - To ten scyzoryk, którym robi łódki z kory. Ale może miała drugi”. Otworzył ostrza, duże i małe, oba całkiem tępe, a szydło było ułamane. Scyzoryk miał też małe nożyczki, ale Mama rzadko ich używała. Toft zszedł do drewni i naostrzył scyzoryk. Potem położył go z powrotem na parapecie okiennym.

Na dworze zrobiło się nagle cieplej, wiatr zmienił się na południowo - zachodni. „To jest ich wiatr - myślał Toft. - Wiem, że najbardziej lubią wiatr z południowego zachodu”.

Nad morzem zbierał się powoli wał ciężkich chmur napęczniałych od śniegu, całe niebo zaciągnęło się nimi. Za kilka dni zima pokryje wszystkie doliny; długo czekała, ale teraz przyszała.

Włóczykij stał przed namiotem czując, że czas ruszać w drogę, był gotowy do wymarszu. Wkrótce dolina zostanie

odcięta. Powoli, spokojnie powyciągał śledzie i zwinął namiot. Zagasił żar. Nie spieszyło mu się dzisiaj.

Wszędzie było teraz pusto i czysto, został tylko prostokąt zbielałej trawy wskazujący, gdzie mieszkał. Jutro śnieg i to zakryje.

Napisał list do Muminka i włożył go do skrzynki. Zapakowany plecak stał na moście.

Gdy zaczęło dnieć, Włóczykij poszedł nad brzeg morza po swoje pięć taktów. Przebrnął przez wał wodorostów i kawałków drewna i stanął czekając na piasku. Zjawily się natychmiast, jeszcze piękniejsze i prostsze niż się spodziewał.

Wrócił na most. Piosenka o deszczu była coraz bliżej. Zarzucił plecak na ramiona i wszedł prosto w las.

Tego samego wieczoru w środku szklanej kuli zaświeciło się bardzo małe, równe światełko. To rodzina umieściła sztormówkę na szczycie masztu i wracała do domu, żeby zapaść w sen zimowy.

Nadal wiał południowo - zachodni wiatr, wał chmur wzniosł się wysoko na niebo. Pachniało śniegiem. Taki czysty, jałowy zapach.

Homek nie zdziwił się, że miejsce, gdzie stał namiot, jest puste. Może Włóczykij zrozumiał, że nikt inny, tylko Toft ma ich przyjąć, kiedy wrócą do domu. Zastanawiał się przez moment - ale tylko przez moment - czy nie jest tak, że Włóczykij rozumie niektóre niewidoczne sprawy, ale potem znów pomyślał o sobie. Jego marzenia o spotkaniu z rodziną tak się rozrosły, że był tym zmęczony. Dostawał bólu głowy, ile razy przychodziła mu na myśl Mama Muminka.

Przedstawiała mu się jako coś tak doskonałego, łagodnego, kojącego, że nie mógł już tego znieść, zrobiła się jak duży, okrągły, gładki balon bez twarzy.

Cała Dolina Muminków stała się nierzeczywista, dom, ogród i rzeka nie były niczym innym, jak tylko grą cieni, i Homek nie wiedział, co jest naprawdę, a co tylko sobie wymyślił. Za długo musiał czekać i teraz był zły. Siedział na schodach przed kuchnią, łapkami obejmując kolana, i mocno zaciskał oczy; ogromne, dziwne obrazy pchały mu się do głowy jedne przez drugie, aż raptem zdjął go strach!

Zerwał się i zaczął biec, przebiegł koło ogródka warzywnego, koło stosu śmieci i wpadł do lasu. Nagle zrobiło się ciemno dookoła, znalazł się w tym brzydkim opuszczonym zakątku leśnym, o którym mówiła Mimbla. Panował tu wieczny mrok. Drzewa rosły ciasno, niepokojąco blisko siebie, nie miały dosyć miejsca na gałęzie i były bardzo cienkie. Ziemia wyglądała jak mokra skóra. Lśniły tylko ognistożółte kozie bródki*, wyrastające z ciemności na kształt małych dłoni, na pniach sterczały wielkie huby, jakby z białokremowego aksamitu.

To był inny świat. Toft nie miał dla niego żadnych obrazów ani żadnych słów, nic nie musiało się zgadzać. Nikt tu nie próbował zrobić ścieżki i nikt nigdy nie odpoczywał pod drzewami. Krążyli tu tylko, zatopieni w czarnych myślach, to był las gniewu. Skłopotany Toft całkiem się teraz uspokoił i był bardzo uważny. Czuł z niesłychaną ulgą, jak wszystkie jego obrazy ulatują. Opisy doliny

* Kozia bródka czyli goździeniec - mięsisty grzyb o krzaczkowato rozgałęzionym owocniku.



i szczęśliwej rodziny bladły i rozprasały się. Mama Muminka też się rozwiała, zrobiła się odległym, bezosobowym obrazem, już nawet nie wiedział, jak ona wygląda.

Toft szedł dalej przez las schylając się pod gałęziami, pełznąc i czołgając się, nie myślał w ogóle o niczym, był równie pusty jak szklana kula. Tu przychodziła Mama Muminka, gdy była zmęczona, zła i zawiedziona i gdy chciała, żeby ją zostawiono w spokoju, tu krążyła bez celu, w wiecznym mroku, owdnięta przygnębieniem... Toft zobaczył całkiem nową Mamę i wydała mu się naturalna. Zastanowiło go nagle, dlaczego Mama bywała smutna i w

jaki sposób można by temu zaradzić.

Las zaczął rzednąć. Ukazały się potężne, szare góry, poprzecinane głębokimi, bagnistymi wąwozami, tylko szczyty sterczały wysoko, całkiem nagie. Tu nie było w ogóle nic, jedynie wiatr hulał. Po ogromnym niebie pędziły ciężkie, śniegowe chmury, wszystko było olbrzymie. Homek Toft obejrzał się, dolina wyglądała jak jakiś niewiele znaczący cień, daleko w tyle. A potem popatrzył na morze.

Leżało rozpostarte przed nim, ciemne, poprzątkowane aż po widnokrąg białymi grzebieniami fal. Toft nastawił twarz do wiatru i usiadł, żeby czekać.

Teraz nareszcie mógł czekać.

Rodzina płynęła z wiatrem, prosto do brzegu. Przybywali z jakiejś wyspy, na której Toft nigdy nie był i której nie mógł zobaczyć. „Może mieli ochotę tam zostać - myślał. - Może ułożą historię o tej wyspie i będą ją sobie opowiadali przed snem”.

Homek Toft siedział długie godziny wysoko na górze i patrzył w dal. Zmierzch zapadł nad ziemią pogrążając ją w mroku, ale na morzu widać było jeszcze każdy grzebień fali.

Tuż przed zachodem słońce rzuciło przez szczelinę w chmurach chłodny, zimowozółty promień światła, od którego cały świat sposepniał.

I wtedy Toft dostrzegł sztormówkę, którą Tatuś Muminka zawiesił na czubku masztu. Paliła się równo, rozsiewając łagodny, ciepły blask. Łódź była bardzo daleko. Toft nie musiał się spieszyć; zszedł lasem, a potem plażą do pomostu i w sam raz zdążył złapać cumę i przywiązać łódź.

